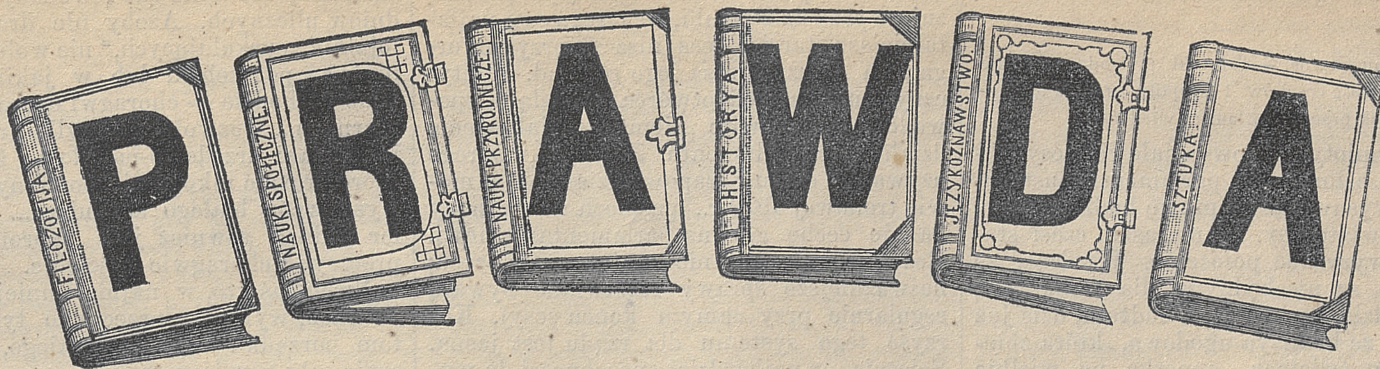
Nr. 17. Warszawa, dnia 26 (14) Kwietnia 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WIELKI SŁOŃ.

Trzeba przyznać polityce, że ona stara się i umie zasnuwać swe najbrutalniejsze czyny oprzędami idealnymi, które nieraz są bardzo przezroczyste i szybko przy dotknięciu rozdzierają się jak siatki pajęcze, ale przez pewien czas spełniają swoje zadanie—osłaniają rękę, która sięga po zdobycz. Kiedy od sejmu niemieckiego żądano zasiłków na wyprawę do Afryki, nawet trzeźwi posłowie dali się złapać na sentymentalną obietnicę, że rząd nie wyjdzie po za granice celów „kulturalnych“ i że chodzić mu będzie przedewszystkiem o „zatamowanie handlu niewolnikami.“ Skoro apostoł cywilizacyi, major Wissman, znalazł się na gruncie, skoro zaczął mordować murzynów, burzyć armatami ich wioski i rozszerzać posiadłości niemieckie nowymi zaborami, pryska bańka, wydęta z idealnych mydlin, i ukazał się widok zwykłego łupiectwa. Daleko dłużej utrzymywała się tkanka szlachetnych pozorów na wyprawie Stanleya. Bohaterski wybawiciel Livingstone'a, za pieniądze króla belgijskiego i bogaczów angielskich, udał się — jak upewniano — w głąb Afryki dla wydobycia Emina paszy (d-ra Schnitzera), osaczonego przez mahdistów. Nie zaprzeczano, że będzie on się starał o zebranie wiadomości naukowych, o zbadanie bogactw kraju, rynków zbytu dla produktów europejskich i dróg handlowych, ale koniecznie wyswobodzi nieszczęśliwego Emina. Zwłaszcza gdy od śmiałego podróżnika nadeszły listy, opisujące męczarnie jego pochodu, entuzyazm dla jego trudów i poświęceń zapłonął pełnym ogniem. Nareszcie Emin, po długim i dla odległych widzów dramatu niezrozumiałym uporze, uległ Stanleyowi i wraz z nim przybył do Zanzibaru. Jego choroba, skutkiem ciężkiego potłuczenia się, przeszkodziła natychmiastowemu wyjaśnieniu się stosunku obu podróżników i ich dalszych zamiarów. Gdy Stanley odpłynął do Egiptu, a Emin odzyskał zdrowie pod czułą opieką majora Wissmana, prasę europejską zaczęły obiegać coraz głośniejsze szepty, że między wybawicielem a wybawionym istnieją jakieś nieporozumienia i pretensye. W końcu tłumiony i tajony spór wybuchł: Emin przyjął służbę niemiecką i wyrusza ponownie w jej interesach do wnętrza Afryki a nadto wylał wszystkie swe żale do Stanleya i odsłonił właściwy cel jego wyprawy. Towarzystwo bogaczów angielskich (główną zaś między nimi rolę gra pewien kapitalista szkocki) nie ulitowało się wcale nad nieszczęśliwym losem osaczonego Schnitzera, dla którego żałowałoby 1,000 funt. szt., ale wiedząc lub odgadując, że on może stać się wyborną pompą, wysysającą soki żywotne z Afryki, a zwłaszcza, że posiada obfite zapasy kości słoniowej, wysłało Stanleya, ażeby go wyratował za cenę zobowiązań do usług i posiadanego a cennego materyału. Emin nie chciał zgodzić się na tę propozycyę, a gdy wreszcie uległ namowom Stanleya do opuszczenia swej siedziby, część kości słoniowej pozostawił u zaufanego królika afrykańskiego, a część w bezpiecznem miejscu ukrył. Chociaż więc został „ocalony,“ zasmucił ciężko swych wybawicieli, którzy nie pragnęli jego całej skóry, ale kości słoniowej. Spełnienie pozornego celu wyprawy było chybieniem rzeczywistego.

Być może, iż w zapowiedzianej i podobno już gotowej książce swojej Stanley inaczej przedstawi tę sprawę; w każdym razie z wyznań Emina, z zestawienia innych dowodów i z tej krytycznej niewiary, jaką mieć trzeba do idealizmu kupieckiego, wynika jasno, że w całym tym zatargu poruszają się naprzód schowane a później wysunięte szpony spekulacyi i zaboru. Dojrzał je wyraźnie i nie łudził się ten rajca londyński, który protestował przeciwko uroczystemu przyjęciu Stanleya kosztem miasta, wskazując w nim przedewszystkiem łupieżcę handlowego. Niepodobna mu odmówić śmiałości, sprytu, bohaterstwa a nawet wielkich zasług dla nauki; ale te przymioty jego charakteru i korzyści zbadania krajów nieznanych nie usuwają głównej sprężyny, działającej w nim i w jego dobrodziejach. I Cezarowi zawdzięczamy dużo nieoszacowanych wiadomości o starożytnej Galii, ale i Cezar nie podjął swej wyprawy dla studyów etnograficznych. Podobnie rzecz się ma z podróżami Stanleya. Powie on nam dużo ciekawych rzeczy o rzekach, jeziorach, ludach wnętrza Afryki, ale pozostanie ciągle wodzem armii, zdobywającym ziemie i narody dla rzeczypospolitej kupieckiej. Bieg Konga zajmuje plan dalszy—na pierwszym leży kość słoniowa. Wielki kapitał, wyczerpawszy wszystkie pokłady zysków w krajach znanych, szuka i, znalazłszy, rzuca się na nie w nieznanych, a rzuca się z całą drapieżnością, z całem ryzykiem i z całą potęgą swych środków. My, naród kramów i handelków, nie możemy pojąć, na podstawie jakiej rachuby milioner szkocki daje olbrzymie sumy Stanleyowi na wyprawę do Afryki i gotowiśmy raczej posądzić go o don-kiszoteryę, niż o spekulacyę; a jednakże jest to tylko spekulacya, tylko marzenie o kości słoniowej. Kultura, cywilizacya, powstrzymywanie handlu niewolnikami, badania naukowe— to plecionka frazesów dla owinięcia beczki z wódką, która płynie do Afryki, lub z kością słoniową, która płynie do Anglii. Powinniśmy wiedzieć o tych rzeczywistych pobudkach, jeżeli chcemy rozumieć owe wielkie przedsięwzięcia podróżnicze, przed którémi i za którémi biegnie krzykliwa sława. Afryka—to słoń, dobijany przez Europę, która mu kły wyłamuje. Nauka dostanie z niego tylko szkielet, który postawi w swych muzeach i nie zdoła nigdy opowiedzieć, z jakiem okrucieństwem go zamordowano i ile przytem krwi wypłynęło.

Z AUSTRYI.

Feryе parlamentarne. — Sztuczki pougodowe Rygiera. — Trzeźwość czechów i kłopoty hr. Taaffego. — Jak pracuje parlament wiedeński.

Po siedmiotygodniowej, jałowej sesyi rozeszli się członkowie parlamentu austryackiego, wysuwając rozprawę budżetową na okres poświąteczny. Tymczasem czesi starają się wyzyskać położenie. Wiedząc, że głosy ich są niezbędnymi dla ministrów, którym idzie o uchwalenie budżetu, dziś już twierdzą, że komisya ugodowa, która zbierze się po świętach, napotka na wielkie trudności; mężowie stanu i dzienniki wskazują ze strachem udanym na „lud,“ który obali ugodę, jeżeli... Jest to oddawna maksymą czechów, że żądań swych w bawełnę nie obwijają: więc i dziś, mimo podpisanego układu, żądają niedwuznacznie ulg i podarków finansowych, wymagają, by im gotówką zapłacono za skorość do ugody. W kołach dobrze poinformowanych wiadomo jednak, że tej pretensyi hr. Taaffe, z przyczyn łatwo zrozumiałych, spełnić nie może; natomiast ofiarowywa czechom nową wiązankę drobnych ustępstw na polu szkolnictwa, próbując w ten sposób utworzyć ugodę co do ugody. Jest to okoliczność charakterystyczna i zasługująca na uwagę, że nowy ten nacisk nie wychodzi bynajmniej z radykalnego stronnictwa młodo-czeskiego, lecz go popierają towarzysze Władysława Rygiera, który wraz z Mattuszem i Zeithammerem podpisał protokoły obrad ugodowych. Rzadko ironia układów politycznych wystąpiła tak jawnie i dotykalnie. Czesi kroczą naprzód z bezwzględnością, którаby nieraz przydać się mogła galicyjskim mężom stanu. Nic ich to nie obchodzi, że posłowie polscy zniechęceni są zawieszeniem sprawy indemnizacyjnej, że hr. Taaffe, udzielając im koncesyj wychodzących po za ramy umowy, burzy tem samem jej podstawę i wstępuje na nowo do labiryntu, z którego rząd austryacki z biedą się wydostał. W tej walce części z całością, członków z organizmem, jaką przedstawiają wewnętrzne dzieje Austryi, czesi postępują najtrzeźwiej; najmniej wierzą sojuszom, posługując się nimi oficie, najskuteczniej dbają o korzyści własne, zapewniając bezustannie sprzymierzeńców politycznych: *de te res agitur.*

Hr. Taaffe zaś, trzymając się metody lekarzów za powodzeniem goniących, dokazuje wprawdzie sztuki, że zażegnywa najfatalniejsze starcia, lecz niszczy przytem organizm i przyśpiesza jego rozkład. Polityczny ten lekarz-cudotwórca metodą tą spowodował całkowite niemal wyjałowienie działalności parlamentu. Zamiast „mądrego używania czasu,“ zapowiedzianego w mowie tronowej 1879 r., pośpiech niesłychany nadaje cechę główną parlamentaryzmowi. Bez tchu pędzi on, nie mając nigdy czasu; najważniejsze sprawy załatwiane bywają regularnie przy samym końcu sesyj. Korzyść tego systemu dla rządu jest jasną. Ścieśnia on najbardziej sposobności do wywodów głębszych, które dla gabinetu stają się kłopotliwymi. W tym wiecznym pośpiechu stronnictwa tracą jasną świadomość własnego stanowiska, stosunku do rządu i do siebie samych. System ten nie zmieni się, póki skład Izby pozostanie takim, jakim jest obecnie. Lecz zbliża się czas wyborów nowych, które, prawdopodobnie, zmienią fizyognomię parlamentu austryackiego. Może do owego czasu hr. Taaffe obmyśli nową metodę wmawiania w żywioły odśrodkowe, że są dośrodkowymi.

S.

Z FRANCYI.

Paryż, 12 kwietnia.

Swoboda ulicy. — Manifestacya rzeźnicka. — Wybory do rady miejskiej Paryża. — Bulanżyzm. — Powrót z konferencyi berlińskiej i francuskie prawodawstwo fabryczne.

Jakiś niemiecki filozof miał powiedzieć, że wolność *ist kein Prinzip.* We Francyi przynajmniej dzieje się inaczej; tu bowiem swoboda, a mianowicie „swoboda ulicy“ jest jednym z kamieni węgielnych porządku w trzeciej Rzeczypospolitej. W imię tej zasady surowo zakazane są wszelkie zbiorowe manifestacye na ulicy; nie wolno również urządzać zebrań na otwartem powietrzu... Wydać się to może dziwnem, że w imię wolności powstał cały skomplikowany regulamin zakazów. Wydawać się to jednak może tylko pozornie, skoro bowiem wnikniemy w ich kazuistykę, przekonamy się niebawem, że wszelkie procesye i manifestacye uliczne zabronione są dlatego właśnie, żeby nie tamować „swobody“ przechodniów ulicznych. Ażeby nie drażnić tych lojalnie „cyrkulujących,“ nie wolno również nieść za pogrzebem lub w jakimkolwiekbądź pochodzie — chorągwi czerwonych lub czarnych... Dozwolone są tylko trójbarwne, jako znaki urzędowo-narodowe francuskie, które drażnić nikogo nie powinny — chyba wyznawców białego sztandaru... Biały kolor jednak również jest zabroniony, jak procesye i chorągwie kościelne.

Niech zaś kto, w najniewinniejszych zamiarach, wykroczy przeciwko tym dogmatom porządku republikańskiego, bezzwłocznie cały garnizon paryski, szczególniej zaś piesza i konna gwardya, postawiony bywa na nogi, policyanci zaś kryją się w różnych zaułkach i podwórzach, żeby mogli wypaść znienacka i rozpędzić naruszających „swobodę ulicy.“

Odbywa się wtedy po całem mieście formalne polowanie na ludzi, policya zaś gorliwie rozpędza wszelkie „zbiegowiska,“ nawet jeżeli składają się z dwóch tylko obywateli... Dwóch, to już *ressamblement dans la rue*; niezbyt dawno Deroulède z Laguerrem zostali zaprowadzeni do komisaryatu za to jedynie, że nie chcieli się rozejść i idąc razem tworzyli zbiegowisko... Jeżeli się wam w takim wypadku zdarzy przechodzić przez plac lub ulicę, których swoboda jest zagrożoną, pamiętajcie nie zatrzymywać się i nie gapić; gdy to bowiem nastąpi, szturgnie was niebawem w bok stróż wolności i porządku, znaglając do posuwania się naprzód; jeżeli postawicie najlżejszy opór takiemu grzecznemu wezwaniu, weźmą was za kołnierz i zaprowadzą także do komisaryatu za *refus de circuler.* Tak, swoboda ulicy strzeżoną jest pilnie i biada temu, kto śmie przeciwko niej wykroczyć.

Poważyli się na to niedawno robotnicy rzeźniccy z jatki centralnej na La Violette. Z powodu jakiejś epidemii, zakazano przywozu do Francyi żywych baranów z Niemiec, co miało ten skutek, że około 600 robotników, zajętych ich zabijaniem, zostało bez roboty. Trwało to kilka miesięcy, aż wreszcie robotnicy, przyciśnięci głodem, dowiadując się przytem, że zarażone rzekomo barany wjeżdżają do Belgii zupełnie swobodnie, że następnie przybywają do Francyi, tylko zabite na granicy — postanowili wreszcie udać się do rządu z petycyą, w której prosili o zniesienie zakazu lub też

---

3)

W PIĘKNEJ WILLI.

Browicz słuchał, a w miarę jak słuchał, zaczynał trapić go niepokój jakiś. Byłby chciał być stąd daleko, a przecież nie ruszał się z miejsca. Oczy jego nie mogły oderwać się od tej twarzy, na której odnajdował z trudnością niegdyś znanego sobie człowieka. Murski nie darmo odwoływał się do dawnych stosunków. Znali się od szkolnej ławki, byli przyjaciółmi nawet w wieku, gdy tak łatwo zawiązują się stosunki. Murski przyjaciół miał pełno. Mają ich zawsze synowie bogatych ojców, zwłaszcza z ręką i kieszenią otwartą. A on szafował wszystkiem, co posiadał: pieniędzmi, zdolnością, sercem. Browicz czasem śmiał się z niego w duchu. Ileż razy Murski za niego odrobił zadanie, napisał ćwiczenie, raz nawet oddał mu najlepsze, a sam dostał bardzo mierny stopień. Prawdziwie można było łatwo z tego jednego przewidzieć, na co mu kiedyś przyjdzie.

A jaki on był piękny! Z delikatnym profilem, jasnem czołem, z oczyma zmiennemi jak gra fali; oczy te śmiały się zwykle, ale każdy smutek cudzy gasił ich wesołość. Był jakiś wdzięk i wykwint w jego postaci, ruchach, wyrazie, który Browicz nieraz przejąć usiłował. Nawet gdy zręcznie powoził amerykanem, przypomniał sobie, jak to czynił Murski. Był on synem wziętego doktora, który mu przekazał za jedyne dziedzictwo niedbałe usposobienie. Pomimo wielkich dochodów nie zostawił nic prócz długów. A jednak Murski opłakiwał go, jakby w spadku odziedziczył krocie. Browicz pamiętał to dobrze. Pracowali już wówczas obaj, Murski miał jakąś posadę sądową, on zaś siedział od świtu do późnej nocy w kantorze; pamiętał nawet jak mu doradzał, by nie spłacał długów ojcowskich.

Ale czy on kiedy rozsądnej rady usłuchał? Odtąd już widywali się rzadko; słyszał tylko, że Murski się ożenił z panną ubogą a w dodatku delikatną, jak pianka. Spotkał ich kiedyś idących ulicą. Kobieta wiotka, bladziutka, żeby przynajmniej była ładną! Chociaż i to głupstwo. W żonie posag to grunt, tak myślą wszyscy rozsądni ludzie. A wszakżeż on sam swatał mu pannę, mającą kilkadziesiąt tysięcy gotówką. Chciał mu dopomódz. Ale kto tam mógł z nim trafić do ładu. Zamiast być wdzięcznym, o mało się nie obraził. Odrzucił jego propozycyę jednem słowem: „Kocham inną.“ I nie zapytał nawet, o ogo chodziło. Jakby miłość i małżeństwo zawsze miały iść w parze? Miał przecież urząd niewielki, przyszłość była niepewną... Próbował mu to przedstawić. Rzucał groch na ścianę. Browicz nie mógł zapomnieć nigdy, jak podniósł jasne czoło właściwym sobie ruchem. Coż stąd, wyrzekł, będę pracował. Ot, do czego te piękne zamiary doprowadziły. I oto ten nędzarz, ten fałszerz, który stał przed nim drżący, z głową zwieszoną na piersi, w starym surducie poplamionym, wytartym, dwa razy za szerokim na jego chude członki, to był ten sam Murski.

Ostatecznie dziwić się nie było czemu; albo to raz ludzie zmieniają się według okoliczności, alboż to raz uczciwość nie chodzi w parze z dostatkiem, a oszustwo z biedą? Browicz widział to nie raz, nie tysiąc. I on, co nie wierzył w abstrakcyę żadną, zwykł był nawet klasyfikować uczciwość według siły przeciwności; była ona jak maszyna, mogąca wytrzymać ciśnienie pewnej liczby atmosfer, albo też według wysokości cyfry, do której można na nią rachować. Były takie, co zaledwie wytrzymywały wartość setki i takie, co kruszyły się dopiero wobec milionów. A tu Murski... Doprawdy dziwiłby się mniej, gdyby chociaż szło o krocie...

Przecież zachowywał się on inaczej, niż to zwykł czynić fałszerz. Nie prosił nawet o łaskę. Zawinił i gotów był znieść skutki winy z jakąś hardością, nieidącą zwykle w parze z oszustwem. Była w nim obojętność niepojęta.

Gniew Browicza minął oddawna, teraz rządziło nim inne uczucie, może ciekawość. Po za winą Murskiego kryło się coś niezna-

o wwożenie baranów, jeżeli wciąż są zapowietrzone, do osobnego budynku wprost z linii kolejowej. Żądania były nader umiarkowane; trudno również uważać za buntowniczy zamiar podanie powyższej petycyi do Izby. Miało ją zanieść kilkudziesięciu robotników...

Oczywiście garnizon został uruchomiony i inne środki przedsięwzięte. Na garstkę rzeźników polowano po całym Paryżu, rozpraszając ich wciąż, gdy się znowu zebrali. Po licznych przygodach kilku zdołało wreszcie dotrzeć do Izby i złożyć tam petycyę. W tenże sam dzień p. Constans, minister spraw wewnętrznych, znany z mocnej pięści, zapowiedział, gdy go interpelowano, że póki on ministrem, nie będzie żadnych zebrań na ulicach.

Paryż mieć będzie wybory do rady miejskiej, które zapowiadają się bardzo burzliwie. Bulanżyści mianowicie, w sojuszu z blankistami, socyalistami rewolucyjnego odcienia i anarchistami zamierzają zdobyć w dniu 27-ym kwietnia gminę paryską. Przy powtórnem głosowaniu sklei się zapewne i sojusz z monarchistami, który obecnie został ostentacyjnie zerwany. Od paru już miesięcy bulanżyści robią przygotowania do zwycięztwa i niewątpliwie mieć będą powodzenie. Przed kilku dniami odbyła się na Jersey narada bulanżystowskiego sztabu, na której otrzymało „inwestyturę“ generalną 80 kandydatów na przyszłych rajców Paryża. Nie obyło się bez drobnych nieporozumień. Mniej zdecydowani bulanżyści, jak b. poseł Andrieux, przeciwni byli „inwestyturze“ i robić chcą „bulanżyzm bez Boulangera.“ Ogół jednak trzyma się mocno generalskiego pióropusza. Święcie Naquet tłomaczył, że ruch rewizyonistyczny, jeżeli ma cel jakiś osiągnąć, nie może się obyć bez uosabiania w jakiejś wybitnej postaci, tym razem w Boulangerze. Chcieć ma tego usposobienie społeczeństwa francuskiego, potrzebującego żywych figur, nie zaś abstrakcyjnych programów...

Bądź co bądź, bulanżyzm jest dziś we Francyi fermentem i składa się z ludzi nader ruchliwych. Odbija on swą jaskrawość na tle ogólnej apatyi i niedołęztwa. Chwila obecna przypomina zresztą nastrój, jaki poprzedził zarówno pierwsze, jak i drugie cesarstwo. Niektórzy z młodych zwolenników bulanżyzmu, jak utalentowany pisarz i publicysta Barrès, zakreślają mu program nader szeroki. „Spojenie dawnej Francyi — pisał on — z demokracyą na gruncie socyalistycznym, puszczenie w niepamięć mizernych szykan antiklerykalnych, przyjęcie i zakończenie Rewolucyi 89-go roku — oto są myśli, które odrzucone przez parlament, przenikają głęboko w masy. Bulanżyzm jest jedną fazą w rozwoju tego programu; błędem było to, że chciał go urzeczywistnić natychmiast. Wystawił weksle krótkoterminowe, które, na szczęście, mogą być prolongowane...“

Delegaci francuscy wrócili z Berlina. Juliusz Simon bardzo jest rad z pochlebnego przyjęcia. Harmonię tej wycieczki zakłóciło tylko nieporozumienie między robotnikiem p. Delahaye a resztą delegacyi francuskiej. Po ostrych dość starciach w jej łonie, załagodzonych zaledwie osobistem wdaniem się p. Herbette'a, francuskiego posła w Berlinie, Delahaye odczytał memoryał, w którym wyraził osobiste swe zapatrywania na sprawę robotniczą. Memoryał ten, na usilne żądanie wrocławskiego biskupa Koppa, zamieszczony zostanie jako dodatek w sprawozdaniu z konferencyi. Delahaye rozwijał myśl o „organizacyi przemysłowej,“ mającej za podstawę produkcyę opartą na najpotężniejszych środkach i prowadzoną na wielką skalę. Urzeczywistnienie takiego ustroju możliwe jest, według niego, tylko przy pomocy prawodawstwa międzynarodowego. Położenie robotników jest dziś, zdaniem mówcy, z każdym dniem gorsze i tylko socyalizm państwowy będzie w stanie znaleźć na to środek skuteczny.

Izby francuskie zajęte są również obecnie nowemi projektami prawodawstwa socyalnego, dotyczącego kobiet i dzieci. Nowa ustawa, zatwierdzona w Izbie, doznała w senacie zmian dość ważnych — wróciła więc znowu do Izby, która wyznaczyła specyalną komisyę dla ponownego zbadania tej sprawy. Komisya jeździ obecnie po prowincyi i uzupełnia swe badania. O rezultatach jej — innym razem.

Parisis.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bismark nietylko ogółowi, ale tym którzy go dobrze znali sprawiał częste niespodzianki przez to, że bywał na przemiany wielkim i małym, a małym właśnie wtenczas, kiedy spodziewano się, że będzie wielkim. Któż np. przypuszczał, że gdy przed paru laty zebrano 3 miliony marek dla ufundowania jakiejś instytucyi publicznej jego imienia, on za połowę tej sumy każe sobie kupić dobra? Również zawodzi powszechne domysły i teraz. Ustąpił, nie chcąc poddać się woli cesarza, odszedł stokrotnie uwieńczony wawrzynami i obarczony sędziwym wiekiem, monarcha do ostatniej chwili łączył się z narodem w czci dla niego; nalezałoby sądzić, że Bismark, chociażby nawet czuł obrazę, zachowa godność odpowiednią swej sławie i swym zasadom, z których ułożył katechizm konstytucyjny. Ciągle bowiem powtarzał, że jest tylko sługą swego pana, którego wola stanowi rdzeń rządu, że ani Prusy, ani Niemcy nie są państwem konstytucyjnem, ale monarchicznem. I cóż robi odjechawszy do Friedrichsruhe? Czy owinięty w togę dumy daje z siebie przykład cnoty politycznej i uległości? Nie, drwi, grozi i walczy. Drwi ze wszystkiego i wszystkich. Nadany mu tytuł księcia Lauenburskiego obiecuje nosić przy podróżach *incognito*; o ministrach mówi, że im pomagał „siedzieć na siodle“ a wybuchy zapału i owacye (których uczestnicy widzieli „łzy“ w jego oczach) podczas odjazdu z Berlina nazywa „pogrzebem pierwszej klasy.“ „Król mnie jeszcze zobaczy“ — miał rzec z tłumionym gniewem. Co przez to rozumiał nie wiadomo, w każdym razie nie wydają się prawdziwemi słowa jego żony, która miała kiedyś powiedzieć do swych gości: „wy go nie znacie, on bardziej interesuje się swoją kuchnią, niż polityką.“ Wezwał bowiem do siebie wydawcę *Hamburg. Nachrichten*, pisma, które mu od lat kilku służyło za jamnika, i po naradzie rozpoczął „natchnionymi“ artykułami szarpać za łydki swego następcę a pośrednio cesarza. Zapowiedział przytem, że wystąpi w Izbie panów i przyjmie mandat poselski, ażeby mieć pole do walki. Bo on przedewszystkiem i ciągle musi walczyć. Niemcy przygotowani są na widowisko o tyle ciekawe, o ile gorszące, a gazety monarchiczne wszelkiemi siłami radzą swojemu Learowi, który skarży się na „niewdzięczność,“ ażeby nie poddawał się szalowi gniewu i zemsty.

Jaką rolę wobec tego wszystkiego gra i grać chce Wilhelm II, który do byłego kanclerza stosował podobno swoje wyrażenie: „kto mi się opierać będzie, tego zmiaż-

---

nego; rozumiał to niewyraźnie, bo też w tym człowieku były zawsze rzeczy dla niego niezrozumiałe.

— Wszystko to dobrze — wyrzekł wreszcie, ale przecież nikt nie rzuca się dobrowolnie w przepaść, i to jeszcze za marne trzysta rubli.

Murski tylko podniósł na niego wzrok, w którym paliła się gorączka z wyrazem tak niewypowiedzianego żalu, iż Browicz mimowoli spuścił oczy, jakby to on popełnił coś złego. Skoro suma ta wydawała mu się tak marną, dlaczegoż jej odmówił?

Pragnął teraz być stąd daleko. Bo ostatecznie czemu tu przyjeżdżał, czemu w tak nieprzyjemny sposób użył godzin odpoczynku? Czego tu szukał? Spoglądał na karosze parskające i krzesające niecierpliwie kopytami iskry z nierównego bruku. Jednak nie ruszał się z miejsca. Oburzenie, jakiego doznał, wydawało mu się teraz dziecinnem, uczciwość Murskiego niewartą była więcej, niż suma, za jaką ją przehandlował. Rzecz zwyczajna, oczywista. On jednak, co był człowiekiem bez złudzeń, uwierzyć temu nie mógł i kiedy odebrał ten list, kiedy jakiś pokątny inkasent uwiadomił go o tym wekslu Murskiego, poręczonym przez niego, nie dowierzał własnym oczom, potrzebował się dowiedzieć z jego ust... zobaczyć... przekonać się.

Teraz już nie było wątpliwości żadnej. Mógł się oddalić. Fałszerz powinien był dostać się w ręce sprawiedliwości, albo też jeśli chciał przez pamięć dawnych stosunków obejść się z nim wspaniałomyślnie, mógł weksel wykupić i zachować, a w razie, gdyby się jeszcze kiedy poważył nadużyć jego nazwiska, postąpiłby z nim, jak z każdym innym złodziejem. Teraz już wszystko skończone. Cóż więcej mogło być wspólnego pomiędzy szanowanym przemysłowcem, stojącym na niezachwianem stanowisku, a tym mieszkańcem przedmieściowego dworku, nędzarzem o wytartem czole?

Miał odchodzić, zatrzymał się jednak. Było coś w zapadłych oczach dawnego towarzysza, co go niepokoiło, jak pytanie, którego nie umiał rozwiązać. Znał tylu oszustów na różnych szczeblach społecznych, ale ten niepodobnym był do żadnego z nich.

— Słuchaj Murski — rzekł wreszcie. Byłeś zawsze człowiekiem rozumnym, wiedziałeś, że się to wyda, powiedz przynajmniej, na co liczyłeś?

Drugi raz powtarzał to pytanie. I drugi raz twarz Murskiego wykrzywiła się boleśnie.

Przez chwilę nie odpowiadał, stał milczący, spuszczone powieki drgały, ręce zaplótł kurczowo.

— Chcesz — wyrzekł wreszcie, nachylając się ku Browiczowi, obacz!

Pociągnął go za ramię i powiódł pomiędzy osty i pokrzywy, zarastające ogródek, pod okno swego mieszkania. Przez stłuczoną szybę odchylił róg chustki, które je zasłaniała.

Izba była nizka, odrapana, z pułapem zamiast sufitu, nierówna podłoga, pełna niedomytych plam, ram opróchniałych, zapadała się tu i owdzie. Pod oknem stał stół prosty, stołek, tapczan słomą zasłany, miska, dzbanek szczerbaty. Ale wśród tych oznak ostatecznej nędzy, znajdowały się sprzęty, które kłóciły się z otoczeniem, zdawały się dziwić ich sąsiedztwu i miały w sobie coś tragicznego, opowiadały o dawnych dostatkach.

W najzaciszniejszym rogu izby perski, wyblakły dywan zwieszał się ze ściany nad otomaną, na której leżał jakiś niewyraźny kształt ludzki. Przy otomanie stał stolik z różanego drzewa, na nim chińska filiżanka, flakon w srebrnej oprawie i parę róż w stłuczonej skorupie. Na misternie rzeźbionej, hebanowej półeczce, stary bronzowy zegar wydzwaniał ochrypłym głosem godziny i kwadranse.

Był to zabłąkany kącik buduaru eleganckiej kobiety.

Postać spoczywającej była tak wychudła, iż stary szal, który ją okrywał, nie rysował prawie kształtów żadnych. Można było wątpić, że tam leży istota ludzka, gdyby nie to, że na poduszce rozsypywały się w nieładzie włosy koloru złota.

Twarzy pod tymi włosami dostrzedz nie było można, tylko z szalu wynurzała się rę-

dżę,“ który miał odwagę go usunąć, który jest ciągle przez niego obrażany, a nie przestaje jemu i jego synowi okazywać przyjaźni, a nawet przyjął protektorat w komitecie pomnika dla Bismarka — zgadnąć trudno. Ponieważ przytem „kurs pozostał dawny,“ chociaż statek ma płynąć „pełną parą,“ ponieważ nowy kanclerz w swej mowie do sejmu pruskiego zgasił nadzieje co do „nowej ery,“ więc nic dziwnego, że niemcy czują niepewność położenia, na której tem wyraźniej odbija się potężna postać „żelaznego księcia.“ Nie zaćmili go ani nowi ludzie, ani nowe czyny. Oczyszczono tylko stajnię Augiaszową prasy gadzinowej, ale samo to nie czyni jeszcze Capriviego Herkulesem.

Prezydent Rzeczypospolitej, Carnot, nie naśladuje swego poprzednika, który dawane mu 600,000 fr. „na reprezentacyę“ chował do kieszeni i objeżdża za nie Francyę, wszędzie witany z zapałem, wszędzie zmuszany do zaznaczenia swej... skromności. Francuzi zachwyceni są tą wędrówką, bo przepadają za deklamacyą polityczną.

W ostatnich czasach stosunki między Francyą a Włochami ogrzały się nieco. Temperatura ich po ustąpieniu Bismarka może znacznie wzrosnąć, zwłaszcza gdy jego „przyjaciel“ Crispi znajdzie swoje Friedrichsruhe.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z NAD BALTYKU.

Bal Arkonii.— A. Zawadzki.—Przedstawienie amatorskie. — Sprawozdanie rys. kat. Towarzystwa dobr. — Zapis dr. Jałowieckiego. — Smierć Z. Choroszewskiej i A. Goreckiego.

Króciej niż zwykle, ale „ochoczo,“ bawiły się nasze „nadobne“ i „strojne“ panny, „dziarska“ i „elegancka“ młodzież, a mamy rzetelnie na kanapach wyspać się zdołały. Hasło do zaczęcia zabaw dał bal korporacyi studenckiej „Arkonia,“ jak zwykle, świetny, który przysporzył kasie stypendyalnej tego stowarzyszenia przeszło 800 rs. czystego zysku. Dwa wieczory zajął p. A. Zawadzki, b. artysta teatrów lwowskiego i krakowskiego, „jedyny w swoim rodzaju,“ jak sam się na ogłoszeniach mieni, deklamator monologów. Że p. Fiszer jest drugim „jedynym“ w tym rodzaju — to prawda; że takich „jedynych“ znajdzie się może jeszcze kilku, to prawdopodobne. Również atoli prawdą jest, żeśmy się dobrze na tych wieczorkach, ludnych, bawili.

Aż w tem na korzyść miejscowego katolickiego Towarzystwa dobroczynności urządzono widowisko amatorskie. Tu podobno już źle nam było. Choć bowiem p. Jowialski doskonale deklamował swe zadługie i zaczęste bajki, choć sam „jedyny w swoim rodzaju“ Zawadzki przekręcał ustami Ludomira pyszną mowę Fredry, całość podobno się nie udała. Publiczności było dużo, wszystkie bilety rozprzedano i zysk wyniósł przeszło 800 rs., tj. niebywałą, jak dotychczas, sumę. Niepowodzenie samego przedstawienia wynikło z powodów od amatorów zupełnie niezależnych.

Dano im bowiem sztukę nieodpowiednią i czasu do nauczenia się zaledwie dwa tygodnie. Piszę o tym teatrze tyle, bo wysoko cenię tę rozrywkę, szczególniej tu u nas, na kresach. Pieszczę tę chociaż dorywczą scenę polską, która przynajmniej raz na rok, w niemieckim grodzie, dozwala brzmieć głośno swojskiej mowie. Publiczność wywoływaniem aktorów i reżysera wdzięczność swą wyraziła. Tymczasem sprawozdawcy niektórych pism swem nietaktownem postępowaniem paraliżują działalność w kierunku rozwoju takiej pożytecznej zabawy. Trzeba wiedzieć, jakie trudności przezwyciężyć trzeba, zanim się pozyska dla publicznego występu amatorów, a szczególniej amatorki—panny. A tu np. ktoś w *Kraju* wymienia rolę jednej z amatorek, której gra miała aż drażnić nerwy czułego sprawozdawcy. Po takiej krytyce już ta panna, ani żadna z jej znajomych na pewno nie da się namówić do udziału w przedstawieniu. I na wszystkiem wygra zapewne teatr francuski, bo polski trudno będzie doprowadzić do skutku.

W czasie antraktów na przedstawieniu tem grała orkiestra amatorska, złożona z członków korporacyi studenckiej „Welecya.“

Wspomniane Towarzystwo wydało za 1889 r. sprawozdanie ze swej działalności, niewątpliwie pożytecznej. Rozchód wyniósł w roku sprawozdawczym 8,597 rs. 86 kop., dochód zaś 9,608 rs. 23 kop., nadto wpłynęło jeszcze 20,450 rs. do rachunku kapitału. Tę znaczną sumę zapisał Towarzystwu zmarły w roku zeszłym dr. med. Julian Jałowiecki. Pozostawił on prócz tej kwoty jeszcze 10,000 rs. w ręku Towarzystwa dla kształcenia młodzieży należącej do jego rodziny. W ochronce utrzymywało Tow. 52 wychowanice; w przytułku dziennym 80 chłopców; do szkółki parafialnej uczęszczało 79 dziewcząt i 55 chłopców; w drugiej szkółce parafialnej, na przedmieściu Mitawskiem, pobierało nauki 56 uczniów i 29 uczenic. Nadto za 4 osoby opłacono wpisy w średnich zakładach naukowych. Resztę działalności Towarzystwa pochłonęły zwykłe wsparcia, udzielane ubogim. Jak na drobną instytucyę — rezultaty to niemałe. W r. z. straciło Towarzystwo przełożoną ochronki, p. Zofię Choroszewską, która z zaparciem się, z ofiarą zdrowia i pieniędzy przez lat 11 obowiązek swój pełniła. Ryską nekrologię zwiększa zmarły przed niedawnem student politechniki tutejszej, Adam Gorecki, wnuk Adama Mickiewicza, któremu młodzież z korporacyi „Arkonia“ wspaniały wyprawiła pogrzeb.

A. R.

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO JEDWABNICZE.

Założona w r. 1853 a zatwierdzona w 1855 na lat 30 spółka jedwabnicza, której promotorowie należeli do celniejszych obywateli kraju naszego, skończyła swój żywot w r. 1885. Nie mogąc, wskutku nieprzyjaznych okoliczności stworzyć przemysłu, który i w takiej Francyi sto lat walczył z trudnościami, spółka z przemysłowej, jaką ją stworzono, zamieniła się w ostatnich dziesięciu latach swego istnienia na niebezskuteczne narzędzie propagandy jedwabnictwa. Członkowie jej pragnąc przedłużyć to działanie, przyjęli na trzech ostatnich ogólnych zebraniach projekt ustawy dla nowego Towarzystwa jedwabniczego, ułożony przez radę nadzorczą spółki, przekazując mu swoje cele, uzasadnione nadzieje i całe mienie spółki dla tem skuteczniejszego dalszego działania.

Zatwierdzona przez rząd w d. 29 grudnia r. 1889 (10 stycznia r. 1890) „Ustawa warszawskiego Towarzystwa jedwabniczego“ określa cel Towarzystwa, jako popieranie rozwoju jedwabnictwa w kraju tutejszym, wszelkimi nadającymi się do tego sposobami, jak: rozpowszechnianie morwy, dostarczanie żądającym zdrowych jaje-

---

ka drobna, jak u dziecka, wązka, wychudła, przezroczystej białości, z obrączką na serdecznym palcu, której wielkość nie odpowiadała już jego dzisiejszej objętości.

Ta maleńka, delikatna, zbiedzona rączka, miała także swoją wymowę. Zdawała się skarżyć na los ciężki, który ją tu rzucił, na cierpienia, które wyssały z niej krew, zjadły ciało i uczyniły podobną do ręki kościotrupa, drżała, poruszała się niespokojnie, jakby szukając opieki; palce nerwowym ruchem wodziły po powierzchni szalu.

Tu widocznie był klucz zagadki, tu sprężyna czynów Murskiego, bo skoro jego okó zatrzymało się na tej postaci, zdawał się zapominać o tem, co nią nie było. Browicz, groza położenia, wszystko to dla niego istnieć przestało. Widział tylko ją jedną. Nagle narzucony szal na spoczywającą wstrząsnął się cały a z pod niego dał się słyszeć kaszel ciężki, chrapliwy, suchotniczy.

Murski szybko zasłonił okno.

— Błagałem cię na klęczkach o pomoc— wyrzekł z wyrzutem — mówiłem przecież, że mi żona umiera.

Rzecz niesłychana, zamiast oburzyć się na zuchwałość tych słów, przemysłowiec tłomaczył się prawie.

— Czyż mogłem wierzyć; tak przecież mówi każdy, nawet żebrak pod kościołem woła, że ma dzieci i żonę, które trzy dni nie jadły.

— Tak, byłem żebrakiem, nie zasługiwałem na wiarę. Tylko ja... mówiłem prawdę. Pytałeś, na co liczyłem, podpisując ciebie na wekslu? Liczyłem, że ona umrze, zanim termin nadejdzie.

Ukrył twarz w dłoniach i milczał przez chwilę. Nie mógł znaleźć słów na oddanie myśli.

— Przeliczyłem się—rzekł wreszcie, usiłując zapanować nad sobą. Każdy dzień miał być ostatnim a dochodził do wieczoru. Skończy ona... skończę i ja... ot wszystko...

Kaszel chorej się wzmagał. Murski to tylko słyszał.

Browicz przez chwilę spoglądał na dawnego przyjaciela. Źrenice jego straciły stalowy swój odblask, powoli rozchylały zaciśnięte wargi. Wobec straszliwej katuszy, na którą patrzał, budziły się w nim jakieś uczucia, ukryte gdzieś na dnie duszy, o których istnieniu nie wiedział...

— Murski — wyrzekł — kładąc mu rękę na ramieniu.

Zagadniony nie zwrócił nawet oczów.

— Słuchaj Murski, nie będę cię gubił.

Spodziewał się zapewne wybuchu wdzięczności, ale ten nędzarz, któremu winę darował, słyszał tylko kaszel żony, drżał, wstrząsał się, jakby on jemu rozrywał piersi, a wspaniałomyślne słowa przyjął ruchem świadczącym o zupełnem zobojętnieniu, ruchem podobnym do tego, z jakim pływak, zmordowany walką z przeciwną falą, opuszcza ramiona i idzie na dno.

I znowu jakaś struna nieznana drgnęła w przemysłowcu. Machinalnym ruchem dobył pugilaresu... Zamierzał dać kilka, kilkanaście, najwyżej dwadzieścia rubli...

Murski dostrzegł banknoty. Była ich cała paczka, odcinały się wyraźnie ich zbrukane barwy na fijołkowym atłasie pugilaresu. Ręce jego zaczęły drżeć gwałtownie, źrenice nie mogły się oderwać od tego widoku, jak oczy głodnego zwierza od nęcącej strawy. Pieniądze te mogły przynieść ulgę, kto wie, może uleczyć nawet suchotnicę.

Gdyby je miał, uniósłby ją daleko pod łagodne nieba. Czasem dzieją się cuda... Gdyby je miał.

Browicz pochwycił jego spojrzenie i cofnął się o krok.

— Ho! ho! taką drogą dochodzi się do zbrodni. Ty byłeś uczciwym...

Murski spuścił głowę. Po cóż ten człowiek, jakby na urągowisko jego nędzy, pokazał mu te pieniądze. Była tu suma, przewyższająca niezawodnie tę, na którą weksel sfałszował.

— Byłem kiedyś uczciwym — szepnął zduszonym głosem.

Browicz był w przystępie niepojętej wspaniałomyślności, ważył w ręku pigilares.

— Może — wyrzekł — mógłbyś nim być jeszcze.

czek jedwabniczych, zakupywanie wyprodukowanych kokonów, dawanie wskazówek odnośnego postępowania za pomocą druku we wszelkiej formie, odczytów, pogadanek. Towarzystwo ma prawo urządzać wystawy, udzielać medali, listów pochwalnych i innych nagród, używać własnej pieczęci, nabywać potrzebne mu nieruchomości, wyznaczać korespondentów z główniejszych ognisk jedwabnictwa krajowego itp. Członkami Towarzystwa mogą być osoby pełnoletnie bez różnicy płci i stanu (z wyłączeniem uczniów szkół publicznych, niższych wojskowych i skazanych sądownie). Członkowie *rzeczywiści* wnoszą rocznie składkę rubli pięć lub rubli sto raz na zawsze, z jednorazowem wpisowem rs. jeden; członkowie *protektorowie* wnoszą jednorazowo najmniej rs. trzysta; członkowie *honorowi*, wybrani z liczby osób szczególniej jedwabnictwu zasłużonych, nie opłacają żadnych składek. Wszystkim trzem kategoryom członków równe służą prawa, do których należy: nabywanie po zniżonej cenie wszelkich potrzeb jedwabniczych, o ile je Towarzystwo w danej chwili zaspokoić może; bezpłatny wstęp na wykłady o jedwabnictwie i na wystawy, urządzane przez Towarzystwo; otrzymywane bezpłatne wydawnictw własnych przez Towarzystwo dokonywanych itp. Właściwe paragrafy ustawy określają zakres i porządek działania zebrań ogólnych, wybory, obowiązki i skład zarządu i tym podobne szczegóły organizacyi wewnętrznej, oraz stosunek z władzami.

Osoby, chcące popierać jedwabnictwo, o którego dodatnich, moralnych i ekonomicznych wynikościach nigdzie już nie wątpią, którego możliwość istnienia w naszym kraju dowiedziona jest przez naukę i praktykę ciągłą wielu osób, zechcą się zgłosić do jednego z podpisanych założycieli Towarzystwa i upoważnionych do zbierania składek za pokwitowaniem oraz udzielania egzemplarzy ustawy Towarzystwa.

Jerzy Aleksandrowicz b. dziekan uniw. war. prezes Towarzystwa ogrodniczego, dyrektor Muzeum przemysłu i handlu, Smolna nr. 28; Jan Banzemer magister prawa i nauk ekonomicznych, urzędnik warsz. Towarzystwa ubezpieczeń, Marienstadt 4; Emilian Broniewski naczelnik kancelaryi warszawskiego kantoru Banku państwa, Elektoralna 2; Aleksander Łapiński obywatel, Nowy-Świat 68; Wiktor Magnus dyrektor Towarzystwa „Merkury,“ Hoża 32; Aleksander Makowiecki, dyrektor Towarzystwa kred. m. Warszawy, Chłodna 10; Antoni Nagórny, b. w.-prezes b. Banku polskiego, Mazowiecka 4; Józef Sikorski, b. redaktor *Gaz. pols.*, dyrektor b. spółki jedwabniczej, Marszałkowska 153.

BADANIA NAUKOWE.

NOWE PRACE EKONOMICZNE.

J. Mittelstaedt: *Rozmyślanie nad nowym systemem ekonomii politycznej*. Warszawa, str. 400.

Bylibyśmy w istotnym kłopocie, gdyby nam kazano zdać ściśle sprawę ze świeżo wydanej książki p. J. Mittelstaedta. Przeczytanie uważne tej pracy i wydobycie głównego wątku bynajmniej rzecz to niełatwa. Chaotyczny sposób wykładu, bezustanne odbieganie od przedmiotu, to znowu powtarzanie w kółko tej samej myśli— wszystko to postawiłoby nas w bardzo smutnej a nieuniknionej konieczności przekształcenia zapatrywań autora. Jesteśmy jednakże dalecy od zamiaru zajmowania się szczegółowego poglądami p. Mittelstaedta. Przyczyna tego z naszej strony nader prosta i tkwi w naturze wysnuwanych przez autora pojmowań. Wprawdzie ma on bardzo wielkie przekonanie o wartości dokonanych przez siebie „odkryć“ w zakresie ekonomii. „Błędne zasady ekonomii politycznej dotychczasowej w całych granicznych, aspiracyach socyalistów, w dążności do rozdrabniania ziemi, w egoizmie osobników i państw, doprowadziły do wojny wszystkich przeciwko wszystkim... Wszyscy to czujemy, że tak jak jest, długo trwać nie może, życzymy sobie zmiany na lepsze, ale ani rządy, ani uczeni, ani robotnicy nie wiedzą, co robić i jak robić... Robotnicy, nie znając rozumnego celu, dróg do niego prowadzących, w błędzie i namiętności gotowi burzyć co ludzkość przez wieki wyrobiła w materyi i duchu... Ks. Bismark i wszystkie rządy i wszystkie uniwersytety i drukiem ogłaszane prace uczonych wyznają i szerzą błędne zasady, które muszą szkodliwe następstwa sprowadzić.“ Według autora tedy, wszyscy błądzą i nikt nie umie wskazać nowej drogi. Dopiero teraz przyszedł apostoł „nowego systemu ekonomii politycznej“ i objawił, gdzie należałoby szukać ocalenia. Tym, którzy z powątpiewaniem przyglądać się będą osiągniętym rezultatom, odpowie on napewno już użytym kiedyś przez siebie dowcipem: gdy w Grecyi odkryto, że kwadrat hypotenuzy równy jest sumie kwadratów obu katetów *), to zabito 100 wołów bogom na ofiarę, i od tego czasu, gdy ktoś co nowego odkryje, ryczy wszystko bydło... Cokolwiek jednak sądzi o sobie twórca *Rozmyślań*, my we wszystkich jego „nowych“ prawdach spotykamy nader dawnych a dobrych znajomych. Są to w gruncie rzeczy właściwe małemu dworkowi szlacheckiemu widnokręgi ekonomiczne i projekty reformacyjne. Ileż razy te same dosłownie zdania odbijały się o uszy nasze przed laty piętnastu! Aby z książki p. Mittelstaedta odnieść można było zupełnie podobne wrażenie, jak z gawęd na ganku dworu wiejskiego, brak w niej tylko jednej rzeczy, mianowicie różnych wtrętów w rodzaju: „szanowny sąsiedzie,“ „panie dobrodzieju.“ Nawet rozwijana przezeń utopia społeczna i związane z nią „nieznane prawo rolnicze“ i suma 70 miliardów, odkryta dla Rosyi, wszystko to są rzeczy, zdradzające to samo źródło pochodzenia. Mianowicie usiłuje on dowieść, że gospodarstwa ziemskie, mniej niż półwłókowe, są dla państwa nic warte, „mają zero wartości,“ o ile mowa o produkcyi zboża, mięsa i wełny. Bogactwo państwowe polega, w jego rozumieniu, dopiero na gospodarstwach powyżej półwłókowego rozmiaru. J. Mittelstaedt dowodzi bowiem, że dochód z pojedynczej włóki wzrasta równolegle z rozszerzaniem się folwarku. Zresztą wzrost ten posiada swoje granice; kiedy rozległość folwarczna przejdzie po nad włók 30 (przy warunku, że zabudowania stoją w pośrodku), odleglejsze pola zaczynają przedstawiać coraz mniejszą siłę produkcyjną, aż nareszcie w zbyt wielkiej odległości ziemia przestaje przynosić jakąkolwiek korzyść i schodzi w wartości swojej do zera. O znacznie wydajności wielkich przedsiębiorstw rolnych nad drobnemi osadami, rozumie się przy umiejętnem gospodarowaniu, spierać się nie będziemy. Jednakże dla nas obecnie najważniejszem jest, że właśnie na zastosowaniu powyżej wskazanego dowodzenia do życia polega dokonane przez autora odkrycie 70 miliardów.

„Nowy system ekonomii politycznej,“ lubo zawarł w sobie mnóstwo rzeczy, od rozpraw natury metafizycznej aż do anegdotek o cudach częstochowskich, najmniej wszakże zajmuje się szczegółami czysto-

*) Nazwy te są własnością autora; po polsku: *przeciwprostokątna* i *boki*.

Murski wzruszył ramionami.

— Ja — wybuchnął— alboż ty nie wiesz, co życie z ludzi robi... Byłem kiedyś uczciwym, miałem szlachetność, honor, potem przynajmniej wstyd zacny... Dziś... Los powalił mnie raz i drugi... szamotałem się z nim... szamotałem daremnie... Co tu gadać!.. Ot, gdybym podobne słowo usłyszał kiedyś, gdyby... Kto wie... Teraz cóż ze mnie, wytarty łachman przeszłości... Może nie byłem tak winny... Są rzeczy niepowrotne. Choćbym nie był napiętnowany wobec świata, jestem nim we własnem sumieniu... Straciłem szacunek własny... Niech tylko ona nie wie nigdy. Niech umrze pod dachem na mojem ręku... Potem...

— Potem Murski...

Spojrzał na przemysłowca, jak człowiek spadający z obłoków.

— Potem? Alboż potem dla mnie istnieje. Póki ona żyje, mogę dla niej kraść i rozbijać. Gdy jej nie będzie, nie ruszyłbym palcem... Spójrz na mnie... Cóż ja jestem?.. Trup tylko.

U chorej powtórzył się napad kaszlu. Murski rzucił się ku drzwiom, zapominając o Browiczu, a ten mógł dostrzedz przez okno jak zbliżył się do chorej, podnosił ją, tulił, ocierał pot z czoła. A ona zarzuciła mu blade ręce na szyję i uśmiechnąć się chciała.

Trup teraz był zgalwanizowany, twarz odzyskała pozór młodości, biła z niej miłość bez granic, gdy brał tę wątłą postać w ramiona.

Przez czas jakiś przemysłowiec spoglądał na to w zamyśleniu. Jakiś świat nieznany otwierał się przed nim. I sam nie wiedział, jak się stało, iż pugilares z banknotami wsunął przez stłuczoną szybę i popchnął rękę, by upadł w głąb pokoju. Potem powoli skierował się ku swemu amerykanowi, wziął lejce z rąk Franka i powracał do miasta.

Konie szły stępa, nie poganiał ich, nie śpieszył, puszczał wodze myślom, obojętny na wrażenie jakie sprawiał.

Dopiero kiedy dojeżdżał do willi i spotkał kilku znajomych, zaczął odzyskiwać zwykłe usposobienie, jak gdyby odnajdował samego siebie. Wyprostował się, obejrzał w koło, zaciął konie i wjechał w bramę, którą z pośpiechem przed nim otwierał czatujący na tę chwilę odźwierny.

Sztamowe róże kołysały się na wysokich łodygach, w oknach odbijało się jaskrawo zachodzące słońce a lustrzane szyby z za splotów bluszczu i wina wyglądały jak ogniste rubiny w oprawie ciemnej zieleni. Żwir zaskrzypiał pod kołami, Browicz był znów w swojem właściwem otoczeniu, wśród domu, ogrodu, przedmiotów i ludzi poświęconych wyłącznie jego wygodzie, jego przyjemności: wchodził w swą codzienną kolej.

Zapalił cygaro, usiadł na werendzie i bujał się znowu na swoim fotelu, wciągając z rozkoszą w piersi atmosferę przesyconą woniami kwiatów. Umysł jego odzyskiwał zwolna zwykłą równowagę, przywyknienia całego życia ogarniały go znowu, a gdy myślał nad tem, co widział i co uczynił przed chwilą, zdawało mu się, że to był jakiś przykry. Cygaro zaledwie do połowy było wypalone, gdy doszedł do przekonania, iż Murski był waryatem najgorszego rodzaju, a szaleństwo jego zaraźliwe, skoro on, on sam był wzruszony jak dzieciak. Gdy je kończył, a Fräulein Augusta przyniosła mu własną ręką filiżankę herbaty, żal mu się zrobiło pieniędzy, tak nieopatrznie rzuconych w przepaść ludzkiego serca; żałował ich tem więcej, iż uznał za stosowne dać jakiś upominek Fräulein Auguście, która gospodarowała wzorowo i myśli jego odgadywać umiała.

Był zły na swą niepojętą hojność, na Murskiego, na chorą i zapytywał sam siebie, czy było rzeczą możliwą, aby pierwszy raz w życiu zrobił paręset rublowy datek, o którym nawet nie wspomni żadne czasopismo.

— Ot! — zawołał gniewnie, rzucając niedopałek cygara i depcząc go nogą — zrobiłem kapitalne głupstwo.

W. Marrené.

ekonomicznymi. Możnaby nawet rzec, że cała oryginalność tego „nowego systemu" polega właśnie na tem, że brak w nim żywiołów natury ekonomicznej. Wprawdzie tu i owdzie potrąca autor o odnośne zagadnienia, lecz tylko po to, aby wykazać niezrozumienie rzeczy. „Te subtelności scholastyczne w definicyi wartości (są) do niczego, ale główny błąd w tem leży, że pomięszane są pojęcia wartości i ceny i sama definicya wartości nie odpowiada naturze rzeczy. My stawiamy śmiało nowy system... Błędne było, że wartość reprezentuje pracę a podług Bastiata przysługę, że więc praca i przysługa jedynie zbogaca. Wartość, podług nas, nie zawsze reprezentuje pracę i przysługę, np. las nad rzeką spławną z belkowiną ma wysoką wartość, i grube pokłady węgla kamiennego— a właśnie dla tego mają wartość, że tam kupiecka siekiera i łopata górnika nie pracowały. Wartość ziemi jest wieczna, bo zależy od przyczyn wiecznych... Rzecz może mieć wysoką wartość a małą cenę, np. dobra książka... Teorya, że praca tworzy bogactwo, bałamuci próżno głowy, bo są prace zbogacające, ale jest bardzo wiele obojętnych i bardzo wiele prac niszczących bogactwo narodowe. Np. prusacy pracowali burząc wsie francuskie i mordując ludzi... Nauka o przysługach też nic nie warta, są przysługi okropne w skutkach." Powyższy, nieco przydługi wyjątek (miejscami „pofałszowany," gdyż opuszczenie kilku ustępów podnosi rozumowanie autora do niewłaściwej mu zwięzłości i łączności) należy do nielicznych w książce miejsc czysto-ekonomicznych i daje najzupełniejsze o niej pojęcie. W gruncie rzeczy ekonomia polityczna zamieniona została na etykę religijną. „My musimy poznać Boga, bo przekonamy się następnie, że całe zadanie ekonomii politycznej na tem właśnie zależy, abyśmy poznali naszego Stwórcę. Od tego zależy dobrobyt pojedynczego człowieka i bogactwo narodu, i szczęście ludzi na ziemi i wieczności." „Jedynem złem na świecie duchowym i materyalnym jest grzech... grzech jest to jedyną zaporą na drodze do bogactwa narodowego. Jeżeli jeden z grzechów głównych opanuje człowieka lub naród, np. obżarstwo, to przy oszczędności i pracy może egzystować, tylko pycha-matka wszystkich grzechów sama wystarczy do doprowadzenia do ruiny, bo życie będzie nad możność — ale trzy grzechy główne gdy naród opanują to bardzo prędko ruina nastąpić musi." W tych wyrzeczeniach zawiera się treść nowej prawdy, obwieszczonej w II rozdziale książki, stanowiącym piątą część całości. W następnym rozdziale o asocyacyi autor wskazuje odpowiednie środki: bractwo opieki nad moralnością i honorem. Stworzenie takiej instytucyi, która pomogłaby do szczęścia i postępu przez podniesienie siły „moralnej" (tj. religijnej) narodu, jest sprawą nagłącą. W jaki sposób winno działać wspomniane bractwo — pomijamy; dość powiedzieć, że obowiązkiem jego jest pamiętać o tem, że duchowieństwo stanowi naturalnych i najwłaściwszych urzędników moralności. Treść rozdziału o państwie zawiera się w wyrzeczeniu, że najrozumniejszą konstytucyę mamy już gotową w chrześciaństwie.

Lecz dość już tego „nowego systemu ekonomicznego," przytoczone bowiem wyjątki jasno uczą, na czem on polega i dokąd zmierza. Jeśli się nie mylimy, autor nadaje mu nazwę „słowiańskiego" i przeciwstawia „germańskiemu." „Są w sercu słowian iskry, które trzeba rozżarzyć w potężny płomień miłości, są w głowie myśli zbawcze—a pragnąłbym być pierwszem echem tego głosu, który zniweczy moc złego ducha, i całą ludzkość wyprowadzi z zaczarowanego koła nie do wyjścia, wskaże drogę do postępu i szczęcia w pokoju." Tymczasem Niemcy przy rozbojach zatracili cechę człowieka, są barbarzyńcami wyrafinowanymi i to tem obrzydliwszymi, że mają naukę i cywilizacyę materyalną. „Era niemiecka się skończyła. Słowianie, lud jedyny na globie co ma głęboko w duszy cnoty chrześciańskie musi na przyszłość światu przewodniczyć." Wtedy zapanują miłość, cnota, prawda...

Tak wygląda całokształt nowej prawdy, nieznanej dotychczas a odkrytej przez autora. Odkrycie to prawdopodobnie jest rzeczą samorodną i nawskróś oryginalną, co jednak nie przeszkadza, aby nie zostało już kilkakrotnie dokonane i nawet usystematyzowane w całą szkołę. Jakoż to samo wyznanie wiary „ekonomicznej" wykluwa się w wielu miejscach Europy na podkładzie ultramontańsko-feodalnym. Działalność biskupów francuskich i belgijskich, prawdy ekonomiczne Lichtenstejnów i niektórych listów papieskich, wszystko to są owoce tej samej filozofii społecznej, którą widzimy u naszego autora. Są jedynie różnice i zabarwienia wynikające z warunków miejscowych. „Era niemiecka" p. Mittelstaedta gdzieindziej nosi nazwę jakobińskiej, żydowsko-liberalnej itd. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy. Ciekawą rzeczą byłoby zbadanie, jakim zmianom uległa owa dążność europejska, przechodząc z gruntu feodalnego na nasz szlachecki. Byłaby to kartka z psychologii społecznej i jeśli książka p. Mittelstaedta ma jakąś wartość, to tylko właśnie jako przyczynek do podobnych studyów. Niech ukaże się jeszcze druga i dziesiąta, i wszystkie one złożą się na surowy materyał w tym przedmiocie. Innego znaczenia praca ta nie posiada. Kończąc tych kilka słów krytycznych, musimy uniewinnić się, jeśli nasze krótkie sprawozdanie dało czytelnikom niesłuszne pojęcie o książce. Sposób wykładu jest bowiem taki, że wciąż należy pytać, czego chce autor, dokąd zmierza i w jakim związku jest jedno zdanie z drugiem—co więcej pozostawać wciąż bez odpowiedzi.

F. Flamm: *Współki rolniczo-ekonomiczne na tle prawodawstwa porównawczego.* Lwów, str. 125.

Praca p. Flamma posiada pewną cechę pokrewną książce p. Mittelstaedta. Ten ostatni, pisząc dzieło niby ekonomiczne, porusza jak najmniej właściwie ekonomiczne zagadnienia lub raczej usiłuje przenieść punkt ciężkości z ekonomii na pole etyczno-religijne. Podobnie i rozprawa p. Flamma o współkach rolniczych, zwłaszcza jeśli usuniemy dodatki, stanowiące dział najważniejszy, zajmuje się w większej części pytaniami zupełnie lub prawie obojętnemi dla obranego celu. A zatem mamy przedewszystkiem zarys stanu większej własności w Królestwie, przedstawiony według znanej pracy p. L. Górskiego (wiadomości statystyczne w tej mierze, przypuszczalne powody złego jej położenia, środki usunięcia niedomagań). Następnie idą wiadomości z ekonomiki w odniesieniu do wytwórczości rolniczej: znaczenie przemysłu rolnego w społeczeństwie, stosunek wymienionego przemysłu do fabrycznego, czynniki wytwórczości, podział pracy. Wreszcie ukazuje się analiza gospodarstwa wiejskiego; w ustępach tych mówi się o naukach potrzebnych w rolnictwie, w ich zaś liczbie znajdujemy nawet logikę; o tem, czem jest ziemiozmawstwo, jakie produkcye zawiera w sobie rolnictwo — itd. Słowem, temu wszystkiemu poświęcono niemal pół książki, aczkolwiek ostateczne rezultaty, potrzebne lub pożyteczne dla dalszych wywodów, dałyby się streścić na jednej lub dwu stronicach. Wszystko bowiem sprowadza się mniej więcej do zdania, że rolnik w rolnictwie potrzebuje bardzo różnorodnych wiadomości i czynności, a zatem, że bez odpowiedniego podziału pracy bezwarunkowo nie zdoła on doprowadzić do odpowiedniego wyzysku wydajności rolniczej i stosownie wysokiej renty. Mianowicie chodzi tutaj o podział w zakresie pracy umysłowej, kierującej. Produkcya rolnicza rozpada się na grupę rolniczą i zwierzęcą oraz zarząd administracyjny. Średniej wielkości folwarki a nawet znaczne majątki nie mogą w żaden sposób pozwolić sobie na trzymanie odpowiednich specyalistów, gdyż to nadmiernie zaważyłoby na budżecie gospodarskim. Można w tym razie niezbędny podział pracy urzeczywistnić inną drogą, mianowicie przez połączenie się najbliższych sąsiadów w celu zużytkowania gospodarstw na rzecz wspólną. Właśnie to nazywa autor współkami rolniczemi i przystępuje w ciągu dalszym do rozpatrzenia ich. Wyznajemy, że i tutaj jest więcej zbytecznego balastu, aniżeli istotnie pożytecznych dla kogoś wiadomości. Można powiedzieć, że najdonioślejszą wartość praktyczną w całej książce posiadają dopiero dodatki, jeden o zasadach oszacowania, drugi podający wzór umowy dla łączących się we współkę rolniczo-ekonomiczną.

W całem słowa znaczeniu autor stoi na stanowisku interesów własności wielkiej. Rozpatrywane współki tylko ją mają na celu. Z tego też stanowiska patrzy p. Flamm na różne sprawy, np. serwitutową (str. 12, 13). Zresztą o podobne zagadnienia potrąca on mimochodem, zagłębiając się całkowicie we wskazaną sprawę praktyczną.

K. R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Walerya Solecka: *On i Ona.* Nowele z przedmową Henryka Sienkiewicza Lwów.

Znany rzeźbiarz T. Błotnicki, mąż autorki, zgasłej w kwiecie młodości, ogłosił tę spuściznę literacką po swej żonie, obejmującą siedm—drukowanych przeważnie w pismach codziennych — nowelek. Przypatrzmy im się bliżej, zanim wydamy sąd o całości. Droga indukcyjna wydaje mi się tem niezbędniejszą, że charakterystyka autorki, narysowana lekkiem piórem i jeszcze lżejszem sercem przez p. H. Sienkiewicza, wychodzi — jak się przekonamy — z dedukcyi, nieopartej na faktycznym stanie rzeczy. Pierwszy z rzędu utwór p. t. *On i ona* przedstawia niczem nie zakłócony obrazek szczęścia dwojga zakochanych, obrazek rodzajowy, umajony kwieciem miłości, ozłocony jesiennymi owocami małżeństwa, cały jednak skąpany w promieniach sielankowego idealizmu. Początek opowiadania rozgrywa się w dusznej atmosferze balowej, przeładowanej ciężarem zarówno przedmiotów zbytku, jak stylu autorki. *On*, to karykatura ułana; wysoki jak ów „olbrzym z bajki," co pożera na śniadanie dwanaście dziewic, zostawiając tylko długie ich warkocze — szeroki, barczysty, z mięśniami „gladyatora," z wąsami długimi „jak mioty," spoglądał z miną marsową, jakby sam jeden chciał powalić cały batalion piechurów, lecz w ogniu miłości topniał jak wosk. *Ona*, ta istna czarodziejka: gdzie stópką dotknie, tam trawa wyrasta. W zbytku i pieszczotach wychowała się na jakąś nieludzkich cnót i szlachetności istotę. Karmiona mlekiem piosnek ukraińskich doszła do takiej znajomości życia, że kiedy spojrzała na człowieka, to wiedziała już od razu, czy mu w piersi bije serce złote, czy pełne robaków. Kiedy „anioł" jej oświadcza się na klęczkach o jej rękę, zapewniając, że zjeść tylko zechce, on wydostanie dla niej perły z morza i gwiazdy z nieba pościąga, ona, jak przystało na kochankę romantyczną — mdleje...

Wreszcie on ją zawozi do swej zielonej, wesołej i ciepłej jak ptasie gniazdko, wioski.

Otóż jak ona sobie teraz wyobraża zadanie kobiety. „Pan będziesz siał zło i hre-

czkę, a ja będę miała *białe* krówki i *białe* kurki i *gołąbki, słoneczniki* złote i *maki* purpurowe — będę len przędła i wełnę, *jak grecka królewna...*" I rzeczywistość nie odbiegła daleko od tych sielankowych marzeń. Prześniwszy poranek, „*pędziła białego kotka, zanurzała* ręce w zroszone krzaki bzu, *chciała całować* kwiaty, niebo, słońce, *całować... całować...*" A potem wziąwszy ogromny pęk kluczy, zaczęła *gospodarzyć*: karmiła kury, głaskała je, *prosząc, by jadły. W stajni* pytała o *nazwę* każdej krowy, odrywała wstążki od swego szlafroczka i krowom na szyi *wiązała różowe kokardy*." Całe to smutne, twarde, pełne krwawych obowiązków życie wiejskie pozostało dla niej różową sielanką, pozbawioną cierni i głogów, jasną jak niebo bez chmurki, a tak sztuczną, jak owa malowana przyroda p. S., przygarniająca do swego łona jednocześnie rozkwitające róże, bzy, lilie i — poziomki ze śmietaną. W obrazku p. t. *Jej dziecko* zdobywa się autorka na śmielsze napiętnowanie zgnilizny moralnej salonów, szkoda tylko, że to czyni na przykładzie, zestawiającym ubóstwo z bogactwem w zbyt jaskrawych, nieestetycznych kontrastach.

Ona, której dziecko dogorywa w ostatniej nędzy, zwalone na zranione plecy biedaczki, bawi się i szaleje śród tłumu wielbicieli, uważając życie za przejażdżkę po salonach na złotym rydwanie, wysłanym różami i klejnotami, a ciągnionym przez niewolników jej wdzięku i majątku. Miała niegdyś lepsze instynkty — miłość, która mimo zakazów bon i przepisów dobrego tonu wtargnęła do jej piersi, ogrzała i ozłociła na chwilę karmione pleśnią serduszko. Na murawie pełnej dzwonków i paproci, wśród zapachu jodeł, rozpoczął się ten romans dziewczęcia z pałacu, a kochaniu temu śpiewały słowiki, łoże słały kobierce kwiatów; gdy im dnia było za mało, księżyc pożyczał swego srebrnego płaszcza, a noc otulała mgłami przed okiem ludzi, sypiąc gwiazdami na szczęśliwych kochanków. Owocem miłości było właśnie to dziecko. Aby uniknąć skandalu, wywieziono je za granicę i tam wydano za jakiegoś cudzoziemca. Nie czując w sobie siły do żadnej walki, poddała się pani Ida losowi. Ze łzami, wylanemi w pożegnalnym liście do kochanka, spłynęły ostatnie iskierki uczuć, które zgasiła na zawsze w jej piersi atmosfera pozłacanego zepsucia i egoizmu. W kilka lat później zasłynęła pani Ida jako gwiazda pierwszorzędnej wielkości i blasku, a długie pasmo jej tryumfów przerwała na chwilę śmierć dziecka miłości, wyrzuconego z nędzy na bruk.

Z „Krasenką" wstępujemy na grunt realny życia chłopskiego, już nie z drugiej ręki, ale wprost z natury czerpanego. Autorka, córka księdza ruskiego, miała sposobność za młodu poznać dokładniej lud wiejski, występujący na obrazku w swym narodowym stroju, ze swymi obyczajami i swoją gwarą. I tu jednak nie otrząsła się zupełnie z naleciałości romantycznych, jak np. w przedstawieniu miłości Motry do Andrucha, gdzie *ona* „całowałaby go, całowała do skończenia świata," a *on* „ją ino całował, obejmował a całował." Nawiasem mówiąc, chłop nasz nie lubi takiego „cmokania," a nawet „lizania" dzieci unika. Wogóle jest Motra chłopką szlachetniejszego zakroju. Istna to „Juno słowiańska," każdy jej ruch wyraża siłę i zręczność, a tyle w niej siły moralnej i woli, że starczy, aby całą rodzinę wyżywić, ogrzać i rozweselić. Pracuje za wszystkich i na wszystkich, męża opoja karmi, przyodziewa, znosi cierpliwie nawet jego kułaki i dopiero wtedy, gdy po pijanemu wyprowadza na sprzedaż krowę Krasenkę, żywicielkę całej rodziny, dopiero wtedy straciła równowagę umysłu i po długiej a nadaremnej walce, odurzona gniewem, bólem, strachem, szalona, przyskoczyła do męża, uderzyła go starym kołem od wozu i zabiła na śmierć. Oderwali ją od niego przemocą — gdy obejmowała martwe ciało kochanego — żandarmi, wsadzili na wóz i powieźli do kryminału...

Życie popłynęło dalej — dla jednych strumieniem łez, szarym dniem jesieni, smutnym jak grób, dla innych szumiącym potokiem, wesołym jak pieśń Anakreonta. Z tego złotego potoku życia skosztowała młoda para małżonków w „Różowym pokoju". *On* mający zmienne usposobienie sangwiników, raz chłodny jak fala zmarznięta, to znów gorący jak płomień, z łatwością przerzucał się z ramion kochającej go żony w objęcia artystki metresy, a jeżeli było w nim co trwałego, to chyba niepomierna chęć używania. Epikureizm ten, jedyna jego religia, hamował go w chwilach uniesień i bronił od zbyt rażących starć z honorem, które mogłyby zakłócić spokój i zmącić przezroczysty napój w złotej czarze jego życia. *Ona*, pochylona ku niemu, jak delikatny powój, przez miłość stawała się bezwiednem jego echem i w przeciągu lat paru z rozmarzonej trochę dziewczynki zmieniła się w rozbawioną, godną swego małżonka damę. Na chwilę tylko wstrząsnął nią instynkt zazdrości, gdy schwytała małżonka na gorącym uczynku. Różowy pokój szczęścia, rozkoszny jak sen nocy letniej, runął nagle i groził jej zdruzgotaniem. Lecz po namyśle została w nim, zasłaniając się w fałszywym wstydzie obłudnym uniesieniem wobec dzieci i ludzi, spijając dalej z tego samego kielicha jad obłudy moralnej. Autorka podnosi to wytrwanie żony na stanowisku wśród zmiennych warunków do obowiązującego wszystkie kobiety prawa, przez co mimowoli uświęca zgniliznę nowożytnego małżeństwa. Mały skrzydlaty bożek miłości, z którym niezgrabnie kokietuje autorka w obrazku zatytułowanym „Amor", przebywa różne zmienne losu koleje, zanim łuk swój złocony skierował na łysiejącą głowę lekarza, zdobiąc front jego szafki z narzędziami chirurgicznemi. Posążek ten uwolniony z niewoli, brudu i kurzu u handlarza starszyzny, był świadkiem dwukrotnej miłości Eskulapa, najprzód do artystki (dosyć wiernie odbijającej koleje losu autorki), będącej przez dłuższy czas aktorką w trupie prowincyonalnej), a potem drugiej miłości jego do jakiegoś naiwnego dziecka, które potem uciekło od męża. Amorek nie dostał jednak dymisyi, miejsce jego zajęła tylko miłość, głębsza, szczera miłość spokojna. Tamta przyrzekała szczęście gorącem słowem rwącej się w niebo myśli i fantazyi, przyrzekała potem spojrzeniem dziecka niewinnem i zawiodła stokroć gorzej. Ta wzbiera i wylewa się na świat, na ludzi w dniach trudu i nocy spędzanych bezsennie przy łożu, chorego kojąc balsamem nieuleczalne rany ludzkości. Cała nowelka — to niezręcznie wyśpiewany hymn pochwalny na cześć „profesora miłości", któremu już dawno zabroniono nauczać „*ex cathedra*". Uczucie to drwi z wszelkich praw i kodeksów spleśniałych, drwi z niezręcznie nanizanych przykładów autorki, a zakłada sobie szkołę w tych młodych, gorących serduszkach, które na chwilę oczaruje, aby potem, przeleciawszy „ziemskie kolisko," głosić trwalszą ewangelię miłości, póki z serc ludzkich nienawiści, a z czoła egoistów piętna Kaina nie zetrze dotknięciem swych czystych skrzydeł. Drobny szkic p. n. „Pierwsze zamówienie," owiany zlekka atmosferą męża autorki i „Hyrodyszcze," przedstawiający romans starzejącego się kawalera, właściciela dóbr, z nauczycielką, idealistką, marzącą o szczęściu chłopów i o zrównaniu ludzi (obrazek przypominający czasy praktyki nauczycielskiej autorki) nie dorzucają już nic nowego do charakterystyki W. Soleckiej. Jest to ta sama niepoprawna, nerwowa romantyczka, malująca na wszystkie tony miłość, jedyne jej znane uczucie, które pali jak ogień, świeci jak słońce na wszystkich stronicach jej spuścizny. Talentu odmówić jej nie można, ale kopalnia jej twórczości nie posiada ani szczerego kruszcu realizmu, ani kropli smutku, dwóch właściwości podanych w przedmowie p. Sienkiewicza jako znamienne rysy jej fizyognomii. Snać szan. kum nie przypatrzył się dobrze dziecku, które trzymał do chrztu z konwenansu...

H. B.

PIEŚŃ ŁABĘDZIA TENNYSONA.

Największy, a przynajmniej najpoczytniejszy ze współczesnych poetów angielskich, ogłosił nowy tom swych poezyj p. t. *Demeter and other Poems*, który pod względem zalet, zarówno jak i wad, w niczem nie ustępuje poprzednim. Trzeba przyznać, że i to coś znaczy, zważywszy, iż sędziwy poeta ma 80 lat wieku. Znajdujemy tu też same doskonałości formy, wspaniałość obrazów i harmonię wiersza; ale za to widnokręgi jego myśli zostały po dawnemu ograniczone, treść utworów została banalną, jak zwykle, a ideały nad wyraz płytkie, często nawet wsteczne. „Poezyi" tej nikt „w chwili rozpaczy lub ironii" nie stworzył. O, nie, jest ona dzieckiem zadowolenia i miernoty. Tennyson nigdy nie wydobył z lutni swej zgryźliwego tonu, nieba nie zasłania mu aż do ostatniej chwili żaden obłoczek, a wiary w boską doskonałość tego najlepszego ze światów nie podkopało najmniejsze zwątpienie.

Mówimy, że treść ostatnich utworów Tennysona jest banalną. Istotnie, czyż może być coś bardziej oklepanego nad romantyczną opowieść „The Ring," w której autor przedstawia losy pewnego pierścionka, przechodzącego wiele rąk, zanim spoczął na palcu prawowitej jego właścicielki? Takąż samą świeżością pomysłu odznacza się historya psa („Oud Roä" czyli Old Rower), który wyniósł dziecko z gorejącego domu i dożył głębokiej starości, otoczony wdzięcznością i szacunkiem. Nie mniejszy polot myśli zawiera w sobie poemat „The Lepers Brede," w którym cnotliwa i kochająca żona nie chce porzucić męża, powracającego z wyprawy krzyżowej z zaraźliwą chorobą (trądem). I wszystko w tym guście.

A ideały Tennysona? Przedstawiają one najmocniejszy wyciąg z „dobrych obyczajów i bojaźni bożej." Poeta spisał już pióro na pieśniach pochwalnych dla najmędrszej, najlepszej, godnej ubóstwiania królowej Wiktoryi. I nic nie stracił na tem! Szanowny laureat otrzymuje sutą synekurę, jakiej pachołkowie artystyczni, żyjący na koszt dobrodziejów, na pewno od czasu Mecenasa nie widzieli. Tennyson mieszka na wyspie Wright, tym raju ziemskim, gdzie go umieściła troskliwość królowej, aby miał dość czasu i dostatku dla pisania antyfon na jej cześć, których przykłady znajdujemy w ostatnim zbiorze. Mamy tu parady poemat na jubileusz królowej Wiktoryi, pisany w stanzach bezrymowych, z „efektem antyfonalnym," co wprawia w naiwny zachwyt prawowierną i dobrze myślącą krytykę angielską.

Cóż robić? Muzy były zawsze dziewczętami sprzedajnemi, a „w naszych czasach — mówi Bleibtreu — zamieniły się w zwykłe bajadery, gotowe tańczyć przed pierwszym lepszym Nababem." Muza Tennysona tnie także często madrygały damom arystokratycznym, darzącym go swemi łaskami, po których zresztą obecnie pozostało, prawdopodobnie, już tylko miłe wspomnienie.

Poeta ten przedstawia doskonały typ konserwatywnego „country gentlmana." Jego angielski szowinizm narodowy występuje w ostatnich utworach zupełnie z tą samą siłą, co i dawniej. Banalność mieszczańska takich pieśni, jak „Love thou thy land" oddawna jest znaną, a i w nowym zbiorku znajdujemy kilka nienawistnych apostrof, zwróconych do Paryża i wogóle do cudzoziemczyzny. Nienawiść ta i nieto-

lerancya daleko więcej, niż romantyczny idealizm, spowodowały go do określenia zolizmu, jako „koryta dla świń.“ Tymczasem nie ulega wątpliwości, iż pierwsze lepsze dzieło Zoli bogatszem jest w namiętność i siłę umysłową, niż wszystkie poezye nabożnego Tennysona, razem wzięte. Wszystkie rozdźwięki współczesnego życia przeszły dlań bez śladu, pozostaje on wobec nich głuchym i ślepym, jak dziecko, a raczej jak rodowity filister. Jakąż natomiast głęboką analizę tych rozdźwięków znajdujemy u Zoli! Weźmy drobny przykład. Znany jest powszechnie okropny rozkład, jakiemu uległa współczesna rodzina mieszczańska. Jej podstawy — to wyrachowanie i geszeft, jej nieodmienne towarzyszki — to prostytucya i cudzołóztwo.

Wszystko to ani na chwilę nie zakłóca prae-rafaelistycznej zaiste harmonii i spokoju Tennysona. Sielanka rodzinna jest u niego zawsze rozczulająca, a uczucie szacunku dla niej — rozwinięte do najwyższego stopnia. Drobnomieszczański ten zachwyt znajdujemy w większości jego utworów. Rozbierany przez nas tom poezyj daje nową próbkę tegoż rodzaju. Mamy tu opowieść p. t. „The remords of Romney.“ Malarz Romney, ożeniwszy się młodo, porzuca wkrótce swą żonę, gdyż artystyczny jego temperament nie zgadza się z pożyciem małżeńskiem. Dopiero pod koniec życia chory, znękany, odzyskuje opuszczoną niegdyś kobietę i na łożu śmiertelnem wyznaje jej, iż cała jego egzystencya była jednym wielkim błędem i że nawet za cenę wyrzeczenia się sztuki trzeba było pozostać u domowego ogniska. To ostatnie jest wszystkiem w życiu, wszelkie inne dążenia i ideały — nawet „święta“ dla Tennysona sztuka— są fraszką. Rodzina pozostała dlań czystą i nieskalaną od czasów grzechu Ewy i aż do ostatniej chwili. Taki jest morał poematu.

Porównajcie te dziecięco naiwne poglądy z głęboką i śmiałą krytyką rodziny mieszczańskiej, jaką nam Zola daje choćby w *Pot Bouille*. Zobaczcie tych mężczyzn, żyjących na utrzymaniu kobiet i robiących na nich karyerę, te panny „chwytające mężów na autoryzowanych trotuarach salonów mieszczańskich,“ te matki „wykładające swym córkom cały kurs prostytucyi przyzwoitej i dozwolonej,“ tę ohydną sieć kłamstwa, upadku i obłudy, która stanowi odwrotną stronę sielanki Tennysonowej, a łatwo będzie wywnioskować, po czyjej stronie jest więcej namiętności, poezyi i prawdy. Szczególnie prawdy, jeżeli zważymy, iż dla Zoli wszystkie powyższe zjawiska stanowią oznakę „rozkładu burżuazyi, której przegniłe podstawy walą się same przez się.“ (*Pot-Bouille*, 465). Tymczasem lord Tennyson jest właśnie piewcą tych podstaw, wierzącym w ich nieskazitelność i wieczną trwałość i to wobec skandalów libertynizmu wychodzących codziennie w całej swej ohydzie na światło dzienne wśród angielskiej arystokracyi mieszczaństwa.

Powróćmy wszakże do „Zgryzot“ Romneya. Nie myślimy bynajmniej stawać w obronie jego — znaną jest powszechnie przysłowiowa głupota malarzów i tenorów, ale może rozdźwięk społeczny łączy dwie istoty często różne co do charakteru, ideałów, dążeń i na jego życiu odbił się boleśnie, może i jego żona mogłaby zająć miejsce w galeryi „Les femmes des artistes“ Daudeta, obok innych gospoś, nierozumiejących swych mężów i pozostających dla nich obcemi, może Romney, pomimo swych filozoficznych uwag nad szczęściem pożycia domowego, w pół roku po wyzdrowieniu porzuciłby powtórnie swą odnalezioną połowicę — Tennysonowi wszystko to jedno: filisterska etyka jest nieugięta w sakramentalnej swej głupocie, to też Romney dobrze czyni, że umiera, gdyż inaczej mógłby autorowi narobić kłopotu.

Lira Tennysona wydawała tony fałszywe zawsze, gdy próbował wydobyć z niej idee abstrakcyjne, filozoficzne lub religijne. W sztuce p. t. „The promise of Mary,“ wystawionej niedawno w teatrze, stara się on dowieść, iż sceptycyzm religijny idzie zawsze w parze z egoizmem, kłamstwem, oszustwem. Z drugiej strony ponieważ teorya rozwoju, przestraszająca kwakrów, sklepikarzy i dewotki okropnem widmem „pochodzenia od małpy,“ obraża ich „delikatne dusze“ i „idealne“ pojęcia o „sztuce, poezyi,“ a głównie o „powabie kobiecym,“ więc Tennyson stanął w szeregu walczących przeciwko tej djabelskiej herezyi i w poprzednich jego utworach możemy znaleźć wiele „klejnocików“ najczystszego i najwstrętniejszego obskurantyzmu. W ostatnim wszakże tomie jego utworów zawarty jest poemacik p. t. „By an Evolutionist,“ w którym krytycy upatrują próbę pogodzenia nauki z poezyą, „okropnej realności“ ze „szlachetnym idealizmem.“ Posłuchajcie tylko:

„The Lord let the house of a brate to the soul of' a man. *)

W innym wierszu „Parnassus“ poeta dochodzi do wniosku, iż astronomia i geologia przyćmiły blask muz. Dziwna rzecz, że też poezya współczesna chętniej się godzi z zabobonami ciemnoty, niż ze zdobyczami nauki! Każdy „artysta“ z zadowoleniem wyidealizuje wam najdzikszą bajdę pierwotnych umysłów, ale za to nie jest on w stanie przetrawić pierwszej lepszej naukowej prawdy. Czyż to nie jest największem potępieniem dotychczasowej sztuki?

Nie mówiliśmy jeszcze o jednym poemacie, „Demeter,“ od którego zbiór niniejszy nosi swój tytuł. Jest to tkliwy monolog bogini z powodu utraty córki i niewątpliwie jedna z najładniejszych rzeczy całego tomu. Śliczne są także wierszyki „Crosting the bar,“ „Far, far avay.“ Reszta mogłaby być śmiało wypuszczoną, bez wszelkiej ujmy dla muzy Tennysona.

Wszelkie wady, któreśmy powyżej wyliczyli, są w oczach czytającej publiczności zaletami. Nic dziwnego: autor nigdy nie wzniósł masy do jakichś nowych, szczytnych ideałów, przeciwnie, sam spuszczał się do poziomu zwykłej, życiowej rutyny. Oprócz tego tajemnica powodzenia Tennysona zawiera się we wspaniałej formie, która rozporządza wszystkiemi narzędziami malarstwa i muzyki. Każdy jego wiersz jest jednocześnie obrazem i melodyą. Ale cóż z tego? Jeżeli poezye Tennysona mile głaszczą ucho i pieszczą oko, to niechaj się cieszą ci, którzy podzielają jego poglądy i ideały. Madonny Rafaela mogą wzbudzić nasz podziw swą techniką, ale gdzie jest ta siła, którąby zdołała wywołać w nas choć słabe echo tych przebrzmiałych zapałów, jakimi przeszłość była pełna? Cóż my mamy z harmonii i kolorytu wierszy Tennysona, jeżeli treść ich jest dla nas banalna, martwa, albo nawet wstrętna?

Cichej pieśni, któraby wlewała otuchę w serca cierpiących i ciemiężonych, ten lord angielski nie nucił, nie targał Tyrteuszowej struny, by dodać męztwa gladyatorom, walczącym za lepszą przyszłość. Był poetą zadowolonych i obżartych. Dla nieszczęśliwych też był i pozostanie obcym.

Leon Winiarski.

*) Bóg umieścił duszę „człowieka“ w ciele „zwierzęcia.“

LISTY WIEDEŃSKIE.

20 kwietnia.

Wystawy: gobeliny w muzeum przemysłowem i zbiory wschodnio-azyatyckie hr. Lanckorońskiego. — Występ p. Bandrowskiego w operze nadwornej. — Koncerty p. Abendrotównej i p. Wolskiej.

Wiedeń artystyczny kwitnie jak dawniej. Już od miesiąca przeszło rozpoczął się sezon wystawowy. Zainaugurowała go wystawa historyczna gobelinów, urządzona przez Muzeum przemysłu artystycznego. Zajął się nią Falke, słynny autor dzieła o smaku nowożytnym, pragnąc zająć szersze koła tą gałęzią produkcyi artystycznej, dawniej tak ulubioną, i wpłynąć na rozwinięcie jej w Wiedniu. Wystawa ta zapoznaje widzów wybornie z dziejami wyrabiania gobelinów i daje im wyobrażenie o całej piękności tych dekoracyjnych dzieł sztuki, niegdyś zdobiących dom każdego zamożnego obywatela, dziś znanych tylko bogaczom i ludziom zajmującym się sztuką fachowo. We Francyi zwłaszcza w ostatnich latach zajmowano się historyą gobelinów. Wiadomo dziś, że w Europie wyrabiano je przez długi czas głównie w Arras, skąd się wywodzi pierwotne ich miano „arrazzi.“ Po upadku przemysłu w Arras, wyrób obrazów tkanych przeniósł się do Brukseli. Kiedy zaś Colbert w r. 1662 w Paryżu założył wielką fabrykę tych wyrobów, zaczęto je nazywać gobelinami z powodu dość niedorzecznego: oto na miejscu, gdzie stanęła owa fabryka, poprzednio rodzina Gobelinów utrzymywała farbiernię. Niederlandczycy zwali gobeliny „rukkelaken,“ a miano to najbardziej oddaje właściwe znaczenie i przeznaczenie tych dekoracyj, któremi ozdabiano portyki i komnaty, kościoły, namioty lub nawet drzewa leśne podczas podróży, skoro wśród drogi popas urządzano. Wyroby te ulubione były na Wschodzie, a w najnowszych czasach odkryto je nawet w grobach starożytnych egipcyan. W Europie rozwój artystyczny gobelinów szedł w ślad za malarstwem. Podczas gdy średniowieczne gobeliny opowiadając zdarzenia, umieszczają postacie w jednym rzędzie obok siebie, zwolna spostrzegamy próby grupowania i wysuwania postaci z płaszczyzny, wreszcie całkowite zastosowanie tła przedniego, średniego i tylnego. W Niederlandach gobeliny przyjmują cechy realistyczne, a nawet naturalistyczne, we Włoszech widzimy na nich walki bohaterów i olbrzymów, we Francyi naśladują patos teatralny nadwornych malarzy Ludwika XIV i ulegają modzie wprowadzonej przez Watteau'a i Bouchera. Gobeliny, zebrane na wystawie wiedeńskiej, są przeważnie dziełami wielkich rozmiarów, wyrabianemi niegdyś według kartonów artystów pierwszorzędnych, będące dziś w posiadaniu kościołów, panujących i rodzin magnackich. Przez czas dłuższy zaniedbywano zupełnie piękne te ozdoby, stracono zrozumienie dla ich wartości. Widzieliśmy w Wiedniu prześliczny gobelin, pochodzący z Rosyi; ocalał on z całego cyklu, który spalono, by wytopić z nich nić złotą. Dziś, kiedy wzrosło zajęcie dla artystycznego ozdabiania mieszkań, przypomniano sobie gobeliny. Bogaci zakupują antyki, mniej zamożni naśladownictwa francuskie. Zważywszy, że większość rodzin mieszczańskich wiedzie życie kosztowne, zmieniając co parę lat lokale, gobeliny przykrywające wielką część ściany są pożądanym środkiem dla utrzymania charakteru mieszkania. Znaczniejszy popyt spowoduje niezawodnie ożywienie produkcyi nowych, oryginalnych gobelinów, a tem samem uprzystępnienie ozdób tych dla kół szerszych.

Drugą wystawę, bardziej jeszcze wzbudzającą ciekawość, zawdzięczają wiedeńczycy rodakowi naszemu, hr. Karolowi Lanckorońskiemu. Zeszłego roku puścił się on w podróż do Indyj, Chin i Japonii z wybornym akwarelistą L. A. Fischerem. Celem jego było nietylko zwiedzenie tych krajów, lecz powiększenie bogatych swych zbiorów działem azyatyckim, dość skąpo reprezentowanym w muzeach europejskich. Należy przyznać, że hr. Lanckoroński wybornie skorzystał z krótkiego stosunkowo pobytu: jego zbiory wyrobów przemysłu przewyższają niemal zasoby muzeum wiedeńskiego, a na polu sztuki, zwłaszcza malarstwa, są jedynemi w Europie. Towarzysz jego przedstawił najpiękniejsze widoki, ja-

kie się podróżnym otwierały, w cyklu przeszło osiemdziesięciu akwareli. Trudno oddać słowami porywającą piękność krajobrazów indyjskich, na których malarz pochwycił czarowną piękność gry kolorów, zdejmując najwspanialsze widoki kilkakrotnie w różnych porach dnia. A i malarstwo indyjskie, mniej znane aniżeli sztuka chińska i japońska, najbardziej na wystawie hr. Lanckorońskiego zajmuje widzów. Są to przeważnie miniatury, przypominające zupełnie średniowieczne roboty klasztorne, zarówno błędami perspektywicznymi, jak techniką kolorystyczną; obrazki te zdumiewają widza jako świadectwa równoległości rozwoju sztuki ludzkiej na różnych punktach kuli ziemskiej. Najwyższego poziomu artystycznego dosięgają wyroby snycerskie, z których przemawia do nas twórcza wyobraźnia artystów wyrazem harmonii, obcej innym wytworom sztuki indyjskiej. Ściany komnat wykładają w Indyach wielkiemi, rzeźbionemi tablicami drewnianemi, przedstawiającemi imitacye okien w ramach ornamentalnych. Okna te, wsparte na filarach, plastycznie występują z płaszczyzny; kryją je kopułki, a w głębi widnieją makaty czerwone.

W sali chińskiej przykuwają oko widza bogactwem i pięknością stroje wyrabiane z jedwabiu i złota o dziwnie wdzięcznym połysku, jakiego nie dosięgają wyroby europejskie. Akwarele chińskie i japońskie (kakemonosy) ilustrują całą niemal historyę malarstwa wschodnio-azyatyckiego. Widzimy najpierw motywy budyjskie, traktowane z ostrością japońską, następnie tematy historyczne i świeckie, coraz śmielsze w konturach, coraz pewniejsze w kolorycie. Wreszcie, jako oryginalny wytwór ducha japońskiego, występuje humorystyczne malarstwo rodzajowe. Dzieła sztuki religijnej zebrał hr. Lanckoroński w małej świątyni buddyjskiej: widzimy tam liczne posążki Buddy, kwiaty lotosu, złote i czerwone, świętych zabijających smoki, słowem żywo przypominają się nam nasze kościołki wiejskie. Na szczególną uwagę zasługuje bogaty zbiór ekranów, wyobrażających sceny miłosne, ozdobionych przepysznymi wzorami. Oryginalnemi ozdobami ściennemi są maski drewniane i woskowe, wyobrażające namiętności skarykaturowanym układem mięśni. Wystawa wschodnio-azyatycka hr. Lanckorońskiego, pomieszczona w muzeum handlowem, prześciga inne wiedeńskie prześlicznym, artystycznym prawdziwie układem, który czyni z niej cacko. Parasole i wachlarze japońskie, oryginalne bronie, makaty, liście palmowe i pióra pawie posłużyły do ozdobienia trzech rozległych sal.

Kiedy hr. Lanckoroński zbiorami swymi zainteresował koła uczone i artystyczne, zarówno jak publiczność szeroką, głosy polskie, które znów akordem całym zabrzmiały w stolicy naddunajskiej, zajęły sfery muzykalne. Z wielkiem powodzeniem wystąpił w operze nadwornej p. Aleksander Bandrowski. Niegdyś śpiewak operetki lwowskiej, odznaczający się niezwykłą w tej kategoryi artystów inteligencyą muzykalną i grą żywą a rozumną, popisywał się on już przed kilku laty w Berlinie, poczem zaangażowany został jako pierwszy tenor do Frankfurtu. W Wiedniu słyszano go dotychczas w *Proroku* i *Rienzim*; w obu partyach zadowolił publiczność i krytykę, która przyznaje mu głos sympatyczny, dobrze ukształcony i grę rutynowaną. Jest nadzieja, że p. Bandrowski wejdzie w skład opery wiedeńskiej. Będzie to rzeczą łatwiejszą, aniżeli utrwalenie pozycyi zdobytej, o czem świadczy los śpiewaczki koloraturowej, p. Abendrotówej, którą starsze koleżanki obecnie intrygami starają się wyprzeć z opery nadwornej. Panna Abendrot, która w chwili, kiedy list nasz znajdzie się w rękach czytelników, może już znaną będzie warszawianom, odniosła niezwykły tryumf artystyczny, występując z pierwszym koncertem w sali Rosendorfera. Zarówno arye operowe, dozwalające rozwinięcia koloratury, jak pieśni, których wrażenie zależy od temperamentu, przekonały publiczność, że młoda śpiewaczka wywiązuje się dziś z zadania swego na estradzie lepiej może, aniżeli na scenie.

W sali Ehrbara wystąpiła p. Bronisława Wolska, która od lat wielu kształci się w Wiedniu. Rozporządza ona głosem sympatycznym, ale nie rozległym, który podobał się publiczności bardziej, aniżeli krytyce. P. Wolska pozostaje na razie śpiewaczką koncertową.

Stwosz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Przyszłość „Słownika geograficznego."—Jak zwykle.—„Wielka encyklopedya ilustrowana."—Gościnne występy aktorów.—Świece teatralne.

...„Gracyalistą" zmarłego w zeszłym tygodniu Wł. Walewskiego był *Słownik geograficzny*. Ponieważ z dochodu nie opłacał on swych kosztów, więc krewniacy nieboszczyka mogą powiedzieć: wydawnictwo to oparte było tylko na „dobrej woli" zmarłego, która ustała wraz z jego życiem i spadkobierców obowiązywać nie może. Jak zapewnia w *Kuryerze warsz.* p. Br. Chlebowski, współredaktor *Słownika*, spadkobiercy tak nie mówią i chcą złożyć potrzebną sumę. Trzymamy ich za słowo, które nietrudno będzie im spełnić, gdyż odziedziczą 400,000 rs., a dokończenie dzieła kosztować ma 6,000 rs. Pierwotna pogłoska, podobno z testamentu poczerpnięta, jakoby zmarły włożył ten obowiązek na Kasę Mianowskiego, brzmiała wprost naiwnie, bo z równą racyą mógłbym ją polecić p. Ludwikowi Krasińskiemu pokrywanie wydatków *Prawdy*. Jeżeli nieboszczyk Walewski istotnie taką wolę objawił, to wytłomaczyć ją można tylko nieprzytomnym stanem, w jakim na godzinę przed śmiercią rozporządzał swym majątkiem. Majątek ten otrzymują jego krewni z linii bocznej; za niespodziewane może, a w każdym razie niezapracowane obdarowanie powinni oni zapłacić społeczeństwu tą drobną ofiarą—dokończeniem pracy swego dobrodzieja. Moralność nasza w pojmowaniu spadków i praw społeczeństwa do majątków, stanowiących niespodziewane wygrywane losy, upadła tak nizko, że nizej zejść nie może. Miejmy nadzieję, że dziedziczący po Wł. Walewskim nie dołączą nowego zgorszenia do tylu innych, które okryły nas plamami wstydu.

Co robić w zimie? Tańczyć. Co robić w lecie? Tańczyć. Co robić w jesieni? Tańczyć. Co robić na wiosnę? Tańczyć. Więc tańczymy: dla nakarmienia głodnych, dla odziania nagich, dla oświecenia ciemnych. Nie sądź czytelniku, że tu wskrzeszam minione wspomnienia karnawałowe. Niech bowiem wioślarze zaświadczą, jak my teraz tańczymy — nawet na murawie, nawet pod strugami rzęsistego deszczu. Widzieliśmy nieraz pląsających tabetyków, dotkniętych paraliżem postępowym, kulawych, ułomnych itd. Ten tylko oprze się pokusom, kto nóg niema — obu! Że wioślarze na uroczystości otwarcia przystani, „podmoliwszy się naprzód," potem „hasali do rana" wytrwale — zapewniać nie potrzebuję. Toć to dzieci wesołego narodu!

Ilu też z nich prenumeruje „Wielką encyklopedyę ilustrowaną"? Nie wiem, ale przypuszczam, że niejeden cenę jej kilkakrotnie pomnożoną rozpuścił w... Wiśle. A wydawnictwo to zasługuje na szerokie poparcie, bo jest kosztownem, pożytecznem i sumiennem. Niema ono nic wspólnego z tandetą, fabrykowaną pospiesznie przez podrzędnych krawców, nicujących po partacku cudzą robotę. Redakcya widocznie stara się o dobór współpracowników możliwie najlepszych i towar sprowadzony z zagranicy dopełnia obficie materyałem krajowym. Pomijając stronę ilustracyjną, która przy naszych środkach i zasobach z zagranicznymi tego rodzaju wytworami mierzyć się nie może, z pobieżnego przejrzenia czterech zeszytów „Encyklopedyi" wydobyliśmy przeciw niej zarzut raczej nadmiaru, niż niedostatku treści. Drobiazgi powiększają obfitość dzieła szczegółami, bez których czytelnik nasz obejść się może. Bo cóż on straci np. nie posiadając wiadomości, że:

Abeken Henryk był bratankiem Bernarda Rudolfa; poświęcał się teologi, w r. 1834 za namową Bunsena udał się jako kaznodzieja poselstwa pruskiego do Rzymu r. 1841 do Londynu; roku 1842 wraz z Lepsiusem brał udział w nankowej wyprawie do Egiptu i Etiopii; r. 1848 został radcą legacyjnym w pruskiem ministeryum spraw zagranicznych, a r. 1853 został tajnym radcą legacyjnym i wnioskodawcą. W czasie wojny francusko-niemieckiej towarzyszył Bismarkowi.

Albo:

Abeken Krystyan Wilhelm Ludwik, saski minister sprawiedliwości, przechodził różne stopnie urzędnicze, uzyskał dziedziczne szlachectwo i był saskim pełnomocnikiem przy radzie związkowej.

Ci panowie więcej mieli imion chrzestnych, niż tytułów do chwały. Encyklopedye niemieckie unieśmiertelniają ich, ale co oni nas obchodzą? Świat za długo istnieje, ażeby pamięć ludzka mogła być torbą, do której wszystko się wrzuca.

Jest to wielkiem, olbrzymiem szczęściem, że aktorzy teatru lwowskiego pogodzili się ze swoim dyrektorem i pozostają na miejscu. Bo wyobraźmy sobie, gdyby nie wszyscy, ale tylko część ich, szukając służby w innych świątyniach Melpomeny, przybyła do nas: ileżbyśmy musieli napisać, a zwłaszcza przeczytać studyów i rozpraw o ich występach! Podczas tego bezrobocia żałowałem, że nie znam p. Szmitta; byłbym go błagał: Panie, jeżeli w sercu twojem tli się najmniejsza iskierka miłosierdzia dla nas, nie posuwaj „konfliktu" do „finalnego" rozerwania. Ustąp, zrób ofiarę, jaką możesz, a nie puszczaj do nas stada swoich ptaków. Przyjęlibyśmy ich chętnie, ale ta najszersza z rzek świata — krytyka teatralna, wezbrawszy nagle, zaleje nas, a nieliczne towarzystwo ratowania tonących w niej i bez tego przyboru rady sobie dać nie może... Czy przeczuciem wiedziony p. Szmitt ulitował się nad nami, czy też nad sobą, dość że ta powódź nam nie grozi i brodzimy tylko w badaniach gry i „pojmowań" jednego p. Rygiera, który do nas z Galicyi zawitał. Nic o jego zdolnościach powiedzieć nie mogę, gdyż: naprzód nie widziałem go, powtóre — z zasady unikam oglądania i publicznego sądzenia gościnnych występów aktorskich, bo to zobowiązuje do każdorazowego zaznaczania odmian, postępów i cofań się artysty w dalszych jego odwiedzinach, zwłaszcza że do pamiętania, jak on poruszał ręką lub nosem przed trzema laty i po trzech latach, udając głupca lub mędrca, nie posiadam odpowiedniego organu; po trzecie — nie znam dobrze foremek fabryki świec, zwanej nowoczesnym repertuarem. Niektóre z tych foremek, w których odlewają się czarne charaktery, inżenierowie, wesołe ciocie, rezonerzy, naiwne itd. w kilku postaciach znam, ale to jeszcze za mało, ażeby być krytykiem teatralnym. Przy największym wysiłku pamięci nie mógłbym ustrzedz się błędu w określeniu, ile takich świec idzie na dramatowy lub komedyowy funt, które z nich należą do produktów zwykłych, a które dopiero starają się o patent. Niedawno np. dopiero objaśniono mnie, że istnieje osobny szablon „wesołej cioci," mający swoje specyalistki.

O świecie fałszu, szablonu i konwencyonalnych, sztucznych odlewów! Wygnałeś poezyę i podrabiasz rzeczywistość. Wytworzyłeś sobie pewną ilość patronów, stałych wzorków, przez które malujesz obrazy życia tak, jak malowane bywają ściany pokojów. Życie to rozwija się, przekształca, zmienia ludzi i stosunki, a ty świecie teatralny ciągle kreślisz swoje czarne charaktery, wesołe ciocie, rezonujących inżenierów i doktorów. Gdzie w tegoczesnych „sztukach" tętni puls obecnego czasu, czem one przypominają znamiona epoki, w której się rodzą i której mają być odbiciem? Jednostajne fabrykaty i fabrykaty. Desenie perkalów i kortów zmieniają się od nich częściej i odpowiadają potrzebom rozwoju lepiej.

Ależ nie sądźcie przedstawiciele tych szablonów na deskach scenicznych, ażebym przeciw wam zwracał te słowa. Wy gracie to, co dostajecie z rąk autorów; nie wasza wina, że rezonerzy i wesołe ciocie dotąd żyją. Gdy sztuka dramatyczna pójdzie w innym kierunku, pójdą za nią i wasze talenty. Tymczasem wydobywajcie świece z foremek i zapalajcie je przed publicznością — łutowe i funtowe.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Hodowca o drobnej własności ziemskiej. — „Kredytożerstwo" szlacheckie. — Losy sklepikarstwa na wsi. — Bezbożność chłopska.

...Z czasem i na instytucyi nawskróś szlacheckiej, Towarzystwie kredytowem ziemskiem, spocznie inne piętno. *Hodowca*, który zgromił *Gazetę radomską* za dogryzanie radcom Towarzystwa oraz delegatom, posądzając ich o żywot pasorzytniczy na synekurach i występując przeciwko jej zarzutom, wymierzonym w stronę ustanawiania przez zarząd nadzoru z delegata przy pomocy wójta i sołtysa nad ruchomościami dóbr niewypłacalnych, twierdzi: „Ustanowienie nadzoru nad dobrami po pierwszej zaległości nie podoba się tym, którzyby chcieli zajęcie do drugiej raty przeciągnąć, by więcej wyzyskać z majątku. Wreszcie dewastujący właściciel i w drugich trzech miesiącach to samo prawie zrobi, z tą różnicą, że po pierwszej zaległości coś może zostanie, po drugiej nie. Wreszcie dewastujący majątek dobrze zna położenie i czeka drugiej raty, a odrazu przystępuje do gospodarki rabunkowej. Im wcześniej więc nadzór będzie ustanowiony, tem lepiej dla majątku i Towarzystwa. Co zaś do nadzoru wójtów i sołtysów, rzecz to doskonale pomyślana, bo doświadczenie wskazuje, że nadzór delegatów jest niedostateczny, gdyż nie mogą oni ciągle kontrolować właściciela, a wójt i sołtys odpowiedzialnością prawną zagrożeni, nie pozwolą usunąć nic z tego, co im pod nadzór oddano. Gorzkie doświadczenie pokazało, że wszelka dyskrecya i opieranie się na dobrej wierze właściciela poddanego dozorowi delegata, do najgorszych rezultatów doprowadziło." Tak to, panowie ziemianie, na coście zeszli?

Przypadek zdarza, że i w innej cytacie *Hodowcy* muszę się z nim poniekąd zsolidaryzować, przynajmniej pod względem stanowiska ekonomicznego. Idzie tu o stosunek drobnej własności ziemskiej (według tego pisma wynoszącej 10 milionów morgów w Królestwie) do wielkiej (sięgającej 9 milionów) oraz o ich regulator gospodarczy *plus x*, czyli o Bank włościański. Powiadam, iż przynajmniej pod względem ekonomicznym piszę się na przytoczone niżej zdanie *Hodowcy* o drobnej własności, bo pod każdym innym sądzono jej u nas odegrać rolę łódki Charona, mającej nas przewieźć po czarnych falach Styksu teraźniejszości do bram raju, gdzie straszliwy Cerber stoi na straży, albo w bezmiar — nirwany... „Nie ulega wątpliwości — powiada tedy *Hodowca* — że uprawa wielka stanowić musi najważniejszą podstawę naszego rolnictwa. Gospodarstwo drobne produkuje mniej, a tem samem drożej, gospodarstwo zaś ogrodowe, zapewniające w zachodniej Europie tysiącom drobnych właścicieli ziemskich byt niezależny i dostatni, u nas, przy żadnej prawie konsumcyi tego rodzaju produktów wpośród miejscowej ludności, w wyjątkowych chyba wypadkach ma jakąś racyę bytu, nigdy zaś nie może być uważane jako system gospodarczy, zasługujący na szersze zastosowanie... We wszystkich też krajach europejskich własność wielka wyłącznie była krzewicielką postępu w dziedzinie rolnictwa; a nie uwłacza to jej zasłudze, że nie uczyniła tego w humanitarnych celach, lecz w obronie zagrożonego swego istnienia ekonomicznego." *Hodowca* nie wątpi, że z czasem, przy większem osobistem wykształceniu i zastosowaniu najnowszej techniki rolniczej, drobny posiadacz ziemski potrafi intensywniej i lepiej gospodarować, ale myli się mocno, jeśli sądzi, że samo sąsiedztwo wzorowych wielkich gospodarstw sprawi tę cudowną zmianę, bez udziału innych, potężniejszych czynników. Ale nawet w takim razie, można być pewnym, że pomimo najdoskonalszych obandażowań, drobni ziemianie, o ile warunki sprzyjać będą, odegrają bodaj rolę armii aspirantów do zajęcia obecnego stanowiska wielkich bankrutów, aspirantów, których nieliczny procent dobiegnie zamierzonej mety, żeby opanowawszy większym obszarem, sprężyściej, niż szlachta, rentę gruntową wyciskać i współzawodniczyć z pozostałymi w tyle towarzyszami tej samej wioski...

Nie mogę się wstrzymać od przytoczenia próbki logiki szlacheckiej, czy też nienasyconości, albo raczej jednego z drugim. Nasuwa mi sposobność korespondent z Konińskiego (gub. kaliska) *Hodowcy* swojem rozumowaniem. Utyskuje on na „miecz Damoklesa," albo bez bawełny mówiąc, na subhastę Towarzystwa, której „nieszczęśliwe" majątki mają podledz. Przeszło 100 dóbr spotka ten los. W razie nieuregulowania należności w ostatecznym terminie sprzedaż tych majątków nastąpić ma we wrześniu. Panuje tam brak zupełny licytantów, cena ziemi spadła straszliwie: kiedy przed laty kilku za włókę dawano przeszło 3,000 rs., a czasem nawet 4,000, dziś te same ziemie przechodzą w „obce" ręce za bezcen, po 1,500 — 2,000 rs. Jak ci, czytelniku, zdaje się — czego te fakty mają dowodzić? Ziemia, przy zmienionych niekorzystnie warunkach rynku zbożowego, nie chce rodzić pożądanej ilości rubli, a więc jest złym towarem, którego z tychże powodów pp. ziemianie, a raczej pełnomocnik ich, Towarzystwo kred. ziem., wystawił na targ w imponującej liczbie. Tak ty odpowiesz i ja wraz z tobą. Ale korespondent szuka sprawcy złego pośród wierzycieli i zarzuca im, że oni to zahypotekowanymi na ziemi długami swoimi przeszkadzają rolnikom korzystać z kredytu państwowego. O, biedna, bezsilna piękności, która zostałaś uwiedzioną, przypominasz mi dziwny obraz. Oto stoi nagi, zużyty suchotnik, na którego plecach są bruzdy krwawiące—ślady długów Towarzystwa, obok nich niżej, skąd nogi rosną, Szmul postawił swoje bańki, suchotnik wyciąga dłonie jeszcze w jedną stronę i woła z gorączką w oczach: „jeszcze kilka cięć!" Życzę wam, panowie, dobrej zabawy...

Wiekowi z płockiego donoszą ciekawe szczegóły o rozwoju sklepów chrześciańskich po wsiach. Są to po większej części zastępujące karczmy — sklepiki z norymberszczyzną, z przedmiotami codziennego a powszechnego użytku, tytoń, artykuły spożywcze i „co najwyżej antałek piwa, sprzedawanego na kufle." Sklepiki takie dzierżawią handlujący od właściciela majątku z dodatkiem ziemi pod kartofle i pastwiska dla krów lub nierogacizny. Oto jakie są na teraz pieluszki niemowlęcia, zarodków handlu wiejskiego chrześcian. Zakładają je nietylko mieszczanie, lecz także i chłopi zamożniejsi. Przy poparciu i zachęcie dziedziców rzucają się do tego zyskownego procederu organiści wiejscy i rzemieślnicy. Ponieważ z tych nowych rodzimego namiastu instytucyj zarobkowych wygnane są napoje wyskokowe, sklepiki więc spełnić mogą trojaką rolę: 1) przyuczyć ludność miejscową do „uczciwego" wyzysku nowych pośredników; 2) napędzić pieniądze do rodzimej kieszeni czyli zwęzić pole działalności obcoplemieńcom i 3) szerzyć wstrzemięźliwość. Mają jednak te zawiązki swojskiego handlu szkopuły stawiane przez „zaślepienie dziedziców nowokreowanych." Oni nie baczą na nic i nikogo i z swoich dóbr „za psie pieniądze na licytacyach poskupywanych" starają się jaknajwięcej wyciągnąć rubli. Otóż ile razy ich sąsiad zniesie u siebie szynk a założy sklepik, oni natychmiast otwierają u siebie karczmę. Więcej solidarności, moi panowie, jeśli życzycie szczerze powodzenia szlachetnemu dziełu...

„Zaprzeczają niektórzy — powiada *Tydzień* piotrkowski — że lud nasz wiejski nie wynaturza się, że wpływ otoczenia i zły przykład klas wykształconych są nieznaczne, że lud ten jest niedostępny wszelkim zmianom na gorsze itd. Niestety, wcale tak nie jest: upadek moralny, zepsucie obyczajów, brak sumienności i zanikające poczucie sprawiedliwości, oraz coraz bardziej mnożące się kradzieże, nieposzanowanie cudzego, lenistwo przy wzrastającej chęci użycia, pieniactwo itd. itd. rozwielmożniają się wśród naszego ludu, niestety bardzo szybko, zwłaszcza wobec różnych postronnych usiłowań..." Po co taki grad obelg spotkał duszę Bartka, ten produkt długo tłumionej cywilizacyi? A oto patrzaj: „W drugie święto Wielkiejnocy rynek masłany zaroił się od bab wiejskich, które, korzystając ze świątecznej posuchy na nabiał i warzywa, zaimprowizowały sobie naprędce targ na te produkty." Panaceum społeczne — jajko wielkanocne i szynka (religijność) — środki doskonałe do rozstrajania żołądka i kiszek głodzonych przez 40 dni, w straszliwy sposób zostały obrażone. Ajednak, kochany moralisto, święto żydowskie, równocześnie z katolickiem przypadające, oczyściło rynek z współzawodników i trzeba było chwytać sposobność za poły...

Z. Atanazy.

O PRAWDĘ.

Łódź, 17 kwietnia.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z powodu ostatniego pożaru w fabryce J. K. Poznańskiego, w pismach prowincyonalnych pojawiły się uwagi, z któremi bezstronny, a naoczny świadek, co najmniej zgodzić się nie może. Ponieważ *Prawda*, w której cenię niepowodowanie się stosunkami osobistymi, na wiarę innych powtórzyła te zarzuty, przyjemnie mi będzie, pomieszczeniem sprostowania faktów wykazać jej literacką bezstronność.

W srogiej i kompetentnej krytyce zarzucono brak cylindrów na płomieniach gazowych. Cylindry takie ani na jotę bezpieczeństwa ogniowego nie zwiększają, przy częstem jednak pękaniu mogą tylko robotników przyprawić o kalectwo. To też znany ten środek nie znalazł zastosowania ani u nas, ani za granicą.

Natomiast, właśnie dla bezpieczeństwa ogniowego, we wszystkich postępowych fabrykach zaprowadzają okna żelazne, które tu nazwano kratami, a które, jak sędzia śledczy zaznaczył w swym protokóle, „każdy mężczyzna z łatwością wyrwać może."

Fakt, że ponad ogniem objętą salą na 3-em piętrze 7 robotników, wróciwszy już ze schodów ogniotrwałych, lecz napełnionych dymem, schroniło się do komórek ustępowych, wystarczył do narzekań na brak schodów i drabin. Otóż sam widziałem przy każdej sali

dwoje ogniotrwałych schodów w przeciwległych końcach sali. Drabin, sięgających do 1-go piętra, wiele było nawet nieużytych. Brak tylko było drabiny rozsuwanej, któraby sięgała do 3-go piętra, gdzie się robotnicy schronili, lecz taką obsługiwać mogą specyalni tylko ludzie.

Również zapewnić mogę, że nietylko żaden robotnik z następnych oddziałów nie został oddalony, lecz nawet wszyscy ze spalonej części nadal w fabryce pracują.

W czem więc upatrzono „niedbalstwo samego p. P.“ — nie wiem. Natomiast jasno widzę niedbalstwo w zbieraniu wiadomości wiarogodnych.

Dziękując za okazaną mi dla tego wyjaśnienia gościnność — pozostaję z poważaniem.

Stały prenumerator.

PRASA RUSKA.

Now. Wremia pisze (według *Gaz. pols.*)

„W korespondencyi naszej z Warszawy przy napomknieniu o bezstronnem zachowaniu się dziennikarstwa polskiego względem dramatycznej trupy Korsza powiedziano słów kilka na temat, że zbliżenie rosyan z polakami, w dziedzinie sztuki i piśmiennictwa poczęte, może stopniowo objąć wogóle stosunki między polakami i rosyanami i z czasem doprowadzić je do ostatecznego zjednoczenia obu narodowości. Na kilka zaś dni przed tą korespondencyą—podług słów *Kraju*— w gazecie naszej wszelka myśl o zjednoczeniu polaków z rosyanami uznawaną była jakoby za niepotrzebny anachronizm.

Rzeczywiście w polemicznej notatce przeciw *Dziennikowi poznańskiemu* uznaliśmy za anachronizm myśl o jakiemś szczególniejszem „pojednaniu polakami, która przeszło lat 10 temu była w obiegu dziennikarskim i mogła, jako znamię czasu, mieć pewne znaczenie, dopóki się nie wyświetliła zupełna jej bezzasadność: chodzi o to, że rosyanie zgoła nie mają z kim „się godzić,“ polacy bowiem nie posiadają odpowiednich ku temu organów państwowych i sami nie przedstawiają — mimo łączność piśmienniczą i publicystyczną — żadnej całości; nadto niema też wewnętrznego celu dla podobnego aktu pojednawczego w takiej właśnie formie, jak to propagowano w końcu ósmego dziesiątka lat bieżącego wieku. Czyż to wszakże ma znaczyć, że pozostajemy ze sobą w sprzeczności, wyrażając się na innem miejscu ze współczuciem o stopniowem zbliżeniu i zjednoczeniu z polakami? Bynajmniej. W tejże notatce polemicznej, występując przeciw jakiemuś „godzeniu się“ pozornemu, mówimy o „spokojnej przyszłości dla naszej Polski w połączeniu z Rosyą,“ tj.: o tem samem zbliżeniu, tem samem zjednoczeniu, jakie przewiduje nasz korespondent warszawski.

I dziś żywimy przekonanie, że im mniej prawić będziemy o „pojednaniu,“ niemającem—powtarzamy — ani środków, ani gruntu, tem lepiej dla sprawy istotnego zbliżenia rosyan z polakami. To ostatnie — pragniemy wierzyć — z czasem utoruje sobie drogę pod wpływem życia samego; to też witamy ze współczuciem każdą pomyślną oznakę w tym duchu — nawet taką drobną, jak bezstronny stosunek dziennikarstwa polskiego do trupy Korsza.

Ma się rozumieć, że i w tym względzie niema czem tak bardzo się zachwycać po naszem od dawna bezstronnem zachowywaniu się, naprzykład wobec produkującego się tu niegdyś polskiego teatru Łukowicza — że pominiemy już „znakomitości“ w rodzaju Sembrich i Mierzwińskiego, którzy w obfitości zdobywają u nas wawrzyny...“

KRONIKA.

Fortepianista niemiecki Reisenauer dał w Warszawie koncert, na którym wykazał przymiot największych mistrzów tego instrument. Jak fatalne skutki wywarła gra jego na wrażliwszych słuchaczów, świadczą następujące słowa sprawozdawcy *Kuryera codziennego*: „Z głową *roztrzaskaną na poły*, z *jaźnią rozstrojoną* do najwyższego stopnia, z perspektywą spędzenia *bezsennej nocy* po doznanych wrażeniach stoimy *jednak* wobec niemożności podzielenia się temi wrażeniami z czytelnikiem i scharakteryzowania wszechpotężnej a wielce indywidualnej gry.“ Mimo „roztrzaskanej głowy,“ „rozstrojonej jaźni“ i „niemożności scharakteryzowania gry,“ krytyk charakteryzuje ją i podziwia w niej zwłaszcza „*karkołomne* przejścia.“ Przy sposobności mały projekcik: czyby nie należało przejść tych nazywać raczej „palcołomnemi“?

Wiadomości administracyjne. *Now. Wr.* pisze: „P. minister spraw wewnętrznych wniósł w tych dniach do Rady państwa projekt utworzenia gubernii chełmskiej, do której składu włączonych będzie kilka powiatów gubernii lubelskiej tudzież sąsiednich, tworzących t. zw. „zabużje.“ Miastem gubernialnem będzie Chełm. Po utworzeniu gubernii wszystkie posady administracyjne obsadzone w niej będą urzędnikami ruskimi. W związku z tym projektem zostaje inny: utworzenie oddzielnej eparchii chełmskiej. Obecnie wikaryat chełmski przyłączony jest do eparchii warszawskiej i jedyny biskup-wikaryusz zamieszkuje w Lublinie, co odbija się w sposób niepożądany na przebiegu spraw duchownych w tym rdzennie ruskim kraju.“

— Opracowano projekt ograniczenia żydów pod względem nabywania, dzierżawienia i zarządzania własnością ziemską. W Królestwie Polskiem w ciągu lat pięciu będą oni musieli wyprzedać posiadane dotąd grunta; nadto określony jest termin, w ciągu którego mieszkający na wsi mają się przenieść do miast. Będą oni mieli prawo wypożyczać kapitały na hipotekę dóbr ziemskich, ale bez możności nabywania tychże dóbr przy subhastacyi. Druga część projektowanego prawa dotyczy żydów w Cesarstwie.

— Przy ministeryum sprawiedliwości wkrótce ma być utworzony nowy departament.

Szkoły. Od roku szkolnego 1890/1 postanowiono wprowadzić do szkół rzemieślniczych wykład hygieny.

— W tych dniach czytany będzie w Radzie państwa projekt ministra oświaty o niektórych zmianach w programach gimnazyalnych. Pomiędzy innemi zalecane jest przedłużenie wakacyi letnich.

— Z inicyatywy ministeryum dóbr państwa postanowiono utworzyć stypendya w szkołach technicznych i rzemieślniczych dla dzieci włościan, zajmujących się rzemiosłem na wsi. Tego rodzaju uczniom wydawane będą pozwolenia na zakładanie warsztatów w miejscach ich zamieszkania.

— Za nieregularne posyłanie terminatorów do szkół rzemieślniczych skazano w Warszawie 80 majstrów cechowych na kary pieniężne w stosunku 75 kop. za każdy raz. Ogółem suma kar wynosi 166 rs. 75 kop.

— Na posiedzeniu sejmu węgierskiego minister oświaty wniósł projekt ustawy, orzekającej, że nauka języka greckiego w gimnazyach nie jest obowiązującą. Nareszcie!

— Grono kobiet w Atenach stara się o otwarcie wyższych kursów żeńskich.

Wiadomości społeczne. Projekt ustawy kasy wkładowo-pożyczkowej felczerów warszawskich wyznania mojżeszowego przedstawiony został do zatwierdzenia władzy wyższej.

— Na przyszłość projektowane jest utrzymanie w Warszawie przez całe lato jednego przytułku noclegowego.

— Zarząd m. Łodzi oddaje podrzutków na wychowanie kobietom, które otrzymują za to z kasy miejskiej po 5 rs. miesięcznie.

— Komitet kasy wsparcia podupadłych lekarzy udzieli z zapisu dr. Jana Bącewicza zapomogę 5 wdowom (po rs. 90) po lekarzach polakach wyznania chrześciańskiego, a w braku takich, po lekarzach innych wyznań. Zgłoszenia przyjmuje komitet przed 15 czerwca r. b.

— Mierzwiński w Krakowie cały dochód z koncertu w sumie przeszło 2,000 zlr. przeznaczył na rzecz miejscowych stowarzyszeń humanitarnych i dobroczynnych.

— Zmarły Jan Schindler, ostatni prezydent Rzeczypospolitej krakowskiej, poczynił następujące zapisy: 40,000 zlr. do rozporządzenia kapituły katedralnej, oraz 10,000 zlr. z przeznaczeniem procentów na rozdawanie co rok jałmużny. Gmina krakowska otrzymała 20,000 rs. na rozdawanie corocznie wsparć dla podupadłych rzemieślników, Towarzystwo dobroczynności 10,000, Arcybractwo miłosierdzia i banku pobożnego (założone przez Piotra Skargę) 5,000 na zapomogi z procentów dla sług, które najdłużej w jednej rodzinie obowiązki swe pełniły. Po 2,000 zlr. otrzymały następujące instytucye: szpital bonifratrów, szpital dla dzieci, szpital żydowski, zakład sierot chłopców, zakład kobiet niedołężnych. Bibliotekę wartościową (10,000 tomów) tudzież mapy i ryciny zmarły zapisał księgozbiorowi jagiellońskiemu; narzędzia, instrumenty medyczne i fizyczne polecił rozdać zakładom naukowym, ubogim w środki.

— Krakowska kapituła katedralna zawiadomiła posła dr. Weigla, przewodniczącego w komitecie sprowadzenia zwłok Mickiewicza do Krakowa, że zezwala na złożenie ich w krypcie katedry na Wawelu. Sprowadzenie odbędzie się w lipcu r. b.

Rolnictwo. W Żerkowie (Poznańskie) zawiązało się nowe włościańskie kółko rolnicze.

— Główny zarząd stadnin państwowych przeznaczył 5,050 rs. tytułem zapomogi dla 12 wystaw koni, które się odbędą w maju r. b. w różnych miejscowościach państwa.

— Z inicyatywy ministeryum dóbr państwa postanowiono w miesiącach letnich przystąpić do robót irygacyjnych w miejscowościach, gdzie susza dawała się szczególnie we znaki.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zezwoliło na dokonywanie bydłu rogatemu szczepień ochronnych na karbunkuł w niektórych guberniach południowych.

Sprawy kolejowe. D. 20 b. m. odbyło się w Humaniu uroczyste położenie kamienia węgielnego pod dworzec nowej kolei.

— Agenci kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej, pracujący w magazynie, w biurze dyrektora i w kasie na stacyi Radom, otrzymali podwyżkę, którą mają także otrzymać urzędnicy wydziału ruchu.

— Komitet taryfowy zgodził się na zastosowanie na wszystkich kolejach jednostajnej zniżonej taryfy za przewóz rozpłodowych koni wyścigowych.

— Według wiadomości, otrzymanej w tych dniach przez giełdę warszawską, skup kolei Terespolskiej odroczony został na lat pięć.

— Ministeryum zatwierdziło uchwały ostatniego zebrania akcyonaryuszów kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej i zażądało przysłania delegacyi, upoważnionej do podpisania układu o skup kolei Bydgoskiej przez Wiedeńską.

Literatura. Na zasadzie ustawy cenzuralnej, wydawnictwo gazety *Rigasche Zeitung* zawieszono.

— W Pradze czeskiej zaczął wychodzić „Strucny slovnik paedagogiki.“

Bibliografia. R. M., *Powieści i baśnie* dla dzieci (z różnych autorów). Warszawa, str. 52.

— G. Chwat, *Buchhalterya podwójna*, zeszyt 3.

— Dr. H. Dobrzycki, *O konieczności oddzielnych sanatoryów dla chorych piersiowych* (odbitka z *Medycyny*).

— Dr. A. Fabian, *Hypnotyzm w nauce a w praktyce* (odczyty), Warszawa, str. 50.

— A. Dygasiński, *Kolorowane tablice poglądowe* do nauki o rzeczach, zeszyt 5.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Ign. S. w Teod. Serdecznie dziękujemy za życzliwe słowa Wasze.

Panu Ad. B. w Genewie. Pierwszy wiersz za zbyt osobisty, drugi — słaby, trzeci — nie do druku.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29.   Дозволено Цензурою, Варшава 13 Апрѣля 1890 г.   Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**